



CHOWONIEC

STOWARZYSZENIE KULTURALNO-EDUKACYJNE

Drzewiej

pamięć szczecińskich drzew 2.0

- Zbiór opowiadań -

SZCZECIN 2022

WSTĘP: Chowańce

AUTORZY OPOWIADAŃ (według kolejności tekstów):

Barbara Stenka, Adrian Kopp, Wojciech Kuczyński, Marcel Mroczek

ILUSTRACJE: Alicja Gajdis-Mateńko

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Tomasz Przywecki

SKŁAD: Agnieszka Szydłowska

KOREKTA: Wojciech Kuczyński

ISBN: 978-83-960643-3-2

INFORMACJA O LICENCJI:



Creative Commons CC BY-NC-SA 4.0 <https://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/4.0/deed.pl>



Spółecznik na lata 2022-2024



Zbiór opowiadań jest jednym z efektów projektu „Drzewiej – pamięć szczecińskich drzew 2.0”, zrealizowanego w ramach programu Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego „Spółecznik na lata 2022-2024 – Program Marszałkowski”.

Jeśli jesteście ciekawi, jak niniejsze opowiadania wypadły w formie audiobooka, zachęcamy do ich odsłuchania na Youtube lub Spotify.

Spis treści

Wstęp	4
Sumak - Barbara Stenka	7
Upiorna okolica Buki znad jeziora Głębokiego , czyli o tym, jak ważna jest ekologia i recykling - Adrian Kopp	28
Urodzinowe wspomnienia upiornego Buki , czyli o tym, jak przeszłość wpływa na dzisiaj - Adrian Kopp	33
Ruda i liściasta rodzinka się powiększa , czyli o tym czy bycie mamą i tatą jest upiorne - Adrian Kopp	39
Dąb Frater - Wojciech Kuczyński	45
Nie płacz, Wierzbo! - Marcel Mroczek	61

Wstęp

Po raz kolejny oddajemy w Wasze ręce zbiór opowiadań, których głównymi i najważniejszymi bohaterkami i bohaterami są szczecińskie drzewa. Przez cały rok nasi autorzy zbierali swoje pomysły, spisywali je i analizowali, by ponownie „ożywić” tych niemych bohaterów tkanki miasta. Już tak bardzo wrosliśmy w przeświadczenie o ich ciągłej obecności, że bardzo często zapominamy, czego były świadkami lub jak ważne są chociażby dla naszego dobrego samopoczucia. Współczesne globalne problemy, m.in. wisząca nad nami katastrofa klimatyczna, tylko nastrają do oddania im głosu i do spojrzenia na świat z ich perspektywy. Drzewa są cierpliwe, nienachalne, w jakiś sposób wyrozumiałe, a przez to ciche i – chciałoby się rzec – niedostrzegalne. Swoimi opowiadaniem chcieliśmy, by ktoś je dostrzegł i szedł z nimi przez świat ramię w ramię. Jako że praca zawsze zaczyna się u podstaw, stworzyliśmy opowiadania dla dzieci (w różnym wieku), które mogą je albo przesłuchać, albo przeczytać. Obie czynności mogą być wykonywane wspólnie z rodzicami, by w ten sposób wzajem „zarażać się” szacunkiem do drzew.

Pierwsze opowiadanie, „**Sumak**”, napisała dla naszego Stowarzyszenia znana szczecińska pisarka **Barbara Stenka**, której talent literacki i bajeczną wyobraźnię mogliśmy poznać już w zeszłym roku. Na pierwszą edycję „Drzewiej” napisała opowiadanie z dreszczykiem pt. „Dzieci drzew”, którego głównymi bohaterkami były lipy z Alei Fontann. Tegoroczne opowiadanie traktuje o egzotycznym sumaku ulokowanym w jednym ze szczecińskich, śródmiejskich podwórek. To osobiwe drzewo jest powodem wielkiego konfliktu między młodszym a starszym pokoleniem Szczecinian.

Kolejne trzy opowiadania zabiorą nas **nad jezioro Głębokie**, gdzie pewna ciekawska wiewiórka, **Ruda**, uwielbia rozmawiać ze swoim drzewnym przyjacielem, **bukiem Upiorem**. Ten tryptyk jest kontynuacją zeszłorocznych przygód dwójki bohaterów

i stara się ukazać tę dzielnicę Szczecina w zupełnie nowym świetle. Poznajemy nie tylko historię okolic Głębokiego, ale również uczymy się o recyklingu czy macierzyństwie (a może tacierzyństwie?). Autorem tryptyku o Buku i Rudej jest **Adrian Kopp**, nauczyciel – bibliotekarz i historyk z wykształcenia.

Dalej, bo na obrzeża Szczecina zabiera nas opowiadanie „**Dąb Frater**” napisane przez **Wojciecha Kuczyńskiego**. Poznajemy w nim dwóch leśników o zupełnie różnym spojrzeniu na природę. Różnią się od siebie jak ogień i woda. Puszcza Bukowa jest niemym (?) świadkiem ich konfliktu, który eskaluje zwłaszcza w momencie wycinki zupełnie zdrowych drzew. Tytułowe drzewo postanawia ukrócić ten precedens i z pomocą leśnej flory i fauny wydać wyrok na jednego z bohaterów. Czy mu się uda? O tym dowiedziecie się z opowiadania. Wojciech, autor, jest z filologiem polskim, który duszę sprzedał sztuce i technice wydawania książek.

Opowiadaniem zamykającym nasz tegoroczny zbiór jest „**Nie płacz, Wierzbo**” autorstwa **Marcela Mrocza**, z wykształcenia filozofa, obecnie nauczyciela i animatora szczecińskiej kultury. Opowiadanie jest powrotem do postaci ożywionej w zeszłorocznej edycji „Drzewiej” – Chłopca z harmonią, posągu stojącego na tyłach Szpinakowego Pałacu. Tym razem Chłopiec porzuci Jasne Błonia i spotka się oko w oko z Wierzbą płaczącą z pl. Orła Białego. Opowiadanie nawiązuje do tzw. kłątwy wierzb, miejskiej legendy która dotknęła fontannę, znajdującą się na środku rzeczonoego placu. Czy tym razem drzewa posłuchają rad rezolutnego Chłopca?

Osobami, o których nie sposób nie wspomnieć, są dwie wspaniałe kobiety – **Alicja Gajdis – Mateńko** oraz **Agnieszka Szydłowska**. Alicja już drugi raz stworzyła dla nas przepiękne grafiki, ilustrujące nasze opowiadania, zaś Agnieszka odpowiada za skład całego zbioru. Dzięki nim z łatwością i przyjemnością możecie czytać i oglądać wytwory naszej wyobraźni. Bez nich ten zbiór nie byłby tak dobry, jak mógłby być.

Nasze opowiadania powstały w ramach projektu. „Drzewiej – Pamięć Szczecińskich Drzew 2.0” realizowanego w ramach Programu Społecznik Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego: „Społecznik na lata 2022 – 2024”. Jeżeli chcesz ich odsłuchać, Droga Czytelniczko lub Drogi Czytelniku, wstukaj w YouTube „Stowarzyszenie Chowaniec”. Tam znajdziesz słuchowiska zrealizowane specjalnie dla Ciebie.

Życzymy Wam miłej lektury (lub odsłuchu)!

Chowańce

Sumak



Barbara Stenka

- Drzewo?! To ma być drzewo?! Paskudztwo jedno, pasożyt, morda zakazana! - pomstowała pani Mataj, sąsiadka z bramy tuż obok mojej, znana z kłótności. Znana sąsiadka, nie brama. Znana na całym naszym podwórku, mieszczącym się pod adresem: Jagiellońska 3. Więcej wam nie zdradzę, i tak już złamałam zasady ochrony danych osobowych.

- Drzewo nie ma mordy – stwierdził chłodno przedszkolak Adaś, wycierając lepkie od niezliczonych porcji lodów dłonie w nieco sflaczałe dżinsy.

- O, następny pasożyt, małe nicdobrego! Niech mi nie mówi, co mam mówić! - pani Mataj trzęsła miniaturową główką, osadzoną na pękatym korpusie. Cienkie rączki potrząsały chodzikiem, a jeszcze cieńsze nóżki tupały ze złości. - Nic, tylko w piłkę rąbie, elewację uszkodził, tynk osypał, ciszę zakłócił!!!

No tak.

Pani Mataj zapomniała, że elewację uszkodził kilkadziesiąt lat wcześniej kolega jej siostrzeńca. Obecnie sześćdziesięcioletek. A przedszkolak Adaś nie rozstaje się ze smartfonem i w piłkę gra kciukami na ekranie. Chyba, że akurat wsuwa lody, hurtowo, co też wymaga aktywności manualnej. Co jak co, ale Adaś na pewno nie mógł być sprawcą osypywania się tynku na jakiegokolwiek ścianie.

Wiatr zakolysał gałęziami jedyne go biednego drzewka w tej części naszego śródmiejskiego podwórza.

Wspomniany przez sąsiadkę - sumak. Nieduży, nie ma nawet trzech metrów. Powykręcany jak gigantyczna parodia bonsai.

Łamany przez dzieciaki, które huśtały się na gałęziach dwadzieścia pięć lat temu. Nie poddawał się, a kierunek każdego nowego odrostu był nie do przewidzenia.

- Taki, panie, sumak, bo to sumak octowiec jest, pamiętacie? – dodał pan Darek, przesuwając językiem po licznych szczerbach - ...to nie nasz, nie polski on, znaczy się obcokrajowy on. Najeżdźca się zwie taki. A na dole, o patrzcie, ile to odnózek, jak to się mnoży, niedługo zajmie cały plac.

- Plac! - prychnęłam i Adaś mi zawtórował. Też mi plac. Pasek pseudotrawniczka, obsypany szarym, suchym piaskiem.

- Uchodźca ten sumak! Przypałętał się. - pani Mataj zgrzytnęła chodzikiem i wycelowała przednimi kółkami w spokojne jak zwykle drzewko.

Nie takie parkowania przeżywało codziennie. Nasi podwórkowi kierowcy nie widzieli niczego niestosownego w umieszczaniu przedniej połowy swoich samochodów w gałęziach niskiego drzewka. Upychają się, byle więcej aut zmieścić. To całe podwórko jest już istnym parkingiem.

- Uchodźca to uchodzi! - sprecyzował pan Darek. - A to tutaj nieruchomo stoi bezczelnie i widok obrzydza. Obcokrajowy. Wichrowaty, wypaczony, szpetny...

- ...i śliczny! - stanęłam szybko między chodzikiem a sumakiem. - A najśliczniejszy jesienią! Czerwony, pomarańczowy, ognisty! Nasz!

Zamilkli.

Znieruchomieli na chwilę.

Stoję z założonymi groźnie chudymi rękami. Wiatr rozwiewa moje sterczące jak gałęzie, sztywne loki, których nie da się porządnie uczesać.

- A ty nie masz lekcji do odrabiania? - mruczy pan Darek, ale nie ma co się go bać.

- Mam. Z Przyrody! - artykułuję dobitnie i nie ma mowy, bym się przesunęła.

- To tak się teraz dziewczynki zachowują?! Patrzysz i nie grzmisz! - zgrzyta chodzikiem pani Mataj i unosi wzrok w górę. - Nikola wie, jak to kiedyś było? Dziewczynka grzeczna była, odetchnąć nie śmiała!

- No chyba absolutnie nie pani! - oznajmiam zuchwale i mam pecha.

- Nikola, jak ty się zachowujesz?! - wrzasnęła na mnie mama, wychylając się z samochodu, który cicho, miękko zatrzymał się tuż obok. - Jazda do środka, na angielski się spóźnisz!

- ...a ...a ...na gałązkach ma takie futerko... - dodałam mniej pewnie, wycofując się w kierunku samochodu – Można go pogłaskać nawet... - nie spuszczaając wzroku z sumaka, wsiadłam do naszej toyoty.

- Futerko... - wyburczał pan Darek. - Jeszcze palce poparzy albo i co.

Stali i patrzyli.

Ale już nie krzyczeli.

- Nikola, zamykaj do jasnej ciasnej te drzwi! - drgnęłam na dźwięk ostrego głosu mamy i zamknęłam.

Czego najbardziej w tej chwili nie znosiłam, to angielskiego.

Nazywam się Nikola Grosik.

Mieszkam tu w Szczecinie na Jagiellońskiej 3, z mamą, która ma kompleks. Kompleks polega na tym, że tu mieszkamy. Część podwórka wyremontowali, ale nasz czteropiętrowy blok chyba nie zmieścił się w budżecie. I pozostał taki szary, odrapany. Przed nim nierówne kostki chodnikowe, o które każdy się potyka. Kratka ściekowa, która chybocze się i brzęczy, gdy na nią nadepnąć. I maleńki ziemisty skwerek z jednym drzewkiem.

Mama wstydzi się, bo to takie byle jakie i nawet zaprosić kogoś to żenada. W środku, w mieszkaniu mama urządziła wszystko według wskazówek stylisty wnętrz z YouTube`a.

Tip top, hit goni hit.

Mama wybrała dla mnie to imię: Nikola, żeby było choć trochę obcokrajowe, międzynarodowe i żeby bez kompleksu można było mnie wołać przy ludziach.

- Tylko to nasze nazwisko... Grosik. - mama krzywi umalowane usta, ale zaraz

prostuje, bo przecież dopiero co je ostrzykiwała.

- Mamo, niech będzie Grosik, mamo, zostawmy... - błagam, bo to nazwisko jest pamiątką po tacie. Po rozwodzie wszystko się zmieniło, ale nazwisko zostawiłyśmy. Tata nie był dobrym tatą i wcale się z nami nie kontaktuje, nawet ze mną. Nic a nic. Nigdy a nigdy. Ale jakoś lubię to nasze nazwisko, bo dzięki niemu tata, choćby bardzo nie chciał, zawsze będzie miał ze mną coś wspólnego.

Lubię też skakać po kratce ściekowej, gdy lekko huśta się pod moimi butami.

Lubię nasze drzewko, obcokrajowego sumaka.

Głaszczę jednym palcem jego mechate konary. Fotografuję śliczne liście (szczególnie jesienią!) i bordowe kolby, jak z aksamitu. Mam w laptopie pliki zatytułowane „Sumak”. Każda pora roku to inny styl. Ciekawi mnie też, kto złamał te wszystkie gałęzie, które wydały na świat odrosty. Kto i w co bawił się tutaj? Dzieciaki. Dzieci. Przez dwadzieścia pięć lat. Muszą być teraz w wieku mojej mamy. Jak to wtedy było?

Z tym drzewkiem, myślałam, że mama nie może nic zrobić. Szkoda, że ono wzmacnia kompleksy mojej mamy. Bo wzmacnia. Mimo, że obcokrajowy (przeczytałam, że pochodzi z Ameryki Północnej), ale nieodpowiednio obcokrajowy. Nie ten rejon, nie ten glamour, nie ten look, nie ta elegancja, zła symetria, proporcje. Pospolitość. Ile razy mama przekonywała mnie, że to głupie lubić sumak.

- Lubi się glicynię różową. Mrozoodporny eukaliptus. Przetacznik Royal. Ale... do tego wszystkiego trzeba mieć własny ogród... - wzdycha, bo własny ogród z Royalem to coś, o czym nawet marzyć trudno w naszej sytuacji.

Owszem, wzięła kredyt, kupiła tęczową toyotę, jakiej nie ma nikt inny w tym mieście – kupiła, żeby podleczyć kompleks. Już cztery lata każe mi zakuwać angielski, żebyśmy w razie czego mogły biegle porozumiewać się w innym kraju, gdy już uda nam się wyrwać z tej biedy.

- Mamo, a dlaczego ty też nie chodzisz na angielski? - pytam chytrze któryś raz,

choć wiem, jak mama nie lubi tego pytania.

- Nikola, ty mnie nie denerwuj, ty rozczesz te kołtuny, ty się prezentuj. Ciągłe plecy w pałąk, Rękawy za długie, bluza za luźna, no i te adidasy brudne.

- Mówiłam, że nie chcę białych!

- Chcesz białe, tylko nie chcesz przyjąć prostej zasady: białe codziennie się czyści! Mokra gąbeczka i podeszwy w minutę śnieżnobiałe. I wierzchy ogarnięte.

- Nie chce mi się codziennie myć podeszew i reszty. Buty są do chodzenia. - zaciskam pięści w kieszeniach i potrząsam skołtunioną głową.

- A prezencja? A stylistyka? Hm... a posiłki? Wciąż tylko te chrupki kukurydziane i chrupki! I te bułki bez niczego. I tylko rogała i rogała.

- Nie cierpię sushi!

- Nikola, wyjdę ze skóry, a zrobię z ciebie damę - mówi mama niby żartem, ale mnie przebiega dreszcz. Jednak tylko przez chwilę.

Trudno. Na razie mama musi kochać swoją córkę, której do damy tak daleko, jak sumakowi do Royała we własnym ogrodzie.

I pomyśleć, że to wszystko rozkręciła właśnie ona, moja mama!!!

- Jak mogłaś to zrobić?!!! - drę się, gdy dociera do mnie, że to ona jeździ od urzędu do urzędu, by uzyskać zezwolenie na wycięcie sumaka! - Wszyscy to robicie za moimi plecami! Sąsiedzi! Petycja! Zbieranie podpisów!

- W tej chwili ucisz się, Nikola! Albo powiedz mi to samo po angielsku - mama usiłuje zastosować odwieczny chwyt, ale jestem tak wkurzona, że nic nie działa.

- I tak nie zrozumiesz, mamo, bo twój angielski jest słabszy niż mój!

- Jak ty się odzywasz do matki?!

- A jak ty się odzywasz do córki? - już ocieram łzy, bo czuję bezsilność. Jeśli dorośli już postanowili i uzyskali zgodę miasta na wycięcie sumaka, to koniec. Co można zrobić, mając dziesięć lat? Status prawny dziesięcioletniego człowieka, ech...

- Czy tak się robi? Zabija się moje ulubione drzewko? Mój sumak?

- Histeria! Nie cierpię hysterii! Biedactwo, doprawdy. Masz matkę do kochania, pamiętaj! A sumaka nikt nie zabija. Po prostu... yyy – wydyma swoje usta i w tej chwili mam chęć przekłuć je jak poziomy balonik. A niech ją sobie boli. Sumak też będzie cierpiał - ...yyyy ...mmm ...przesadzi się go w inne, bardziej odpowiednie miejsce.

- Czyli gdzie?!

- Czyli gdzie indziej. Nikola, mam już dosyć tej rozmowy. Do-syć!!!

- Czy nie użyłaś słowa “wyciąć”?! - smarkam się i to mi odbiera powagę, bo jak forsować swoje zdanie z gilem i łzami na twarzy. Niestety, to kolejny minus bycia dziesięcioletnim człowiekiem. Nie umiem pohamować łez. Łez żalu nad sumakiem, nad tymi wszystkimi historiami, które to drzewko pamięta i których nigdy nikt nie pozna. Łez żalu z powodu pustki w przestrzeni, która za chwilę będzie mi przypominała o tym, że nic w życiu nie udaje mi się jak powinno, że na nic nie mam wpływu.

- Ojeju, kwestia lingwistyczna, nie trop afery tam, gdzie jej nie ma. - mama się niecierpliwi, bo zaraz idzie do Kaskady na hybrydy.

- Ale co ci przeszkadza ten sumak? - zagradzam jej drogę do drzwi. - Mamo! Mamo! Dlaczego tak ci przeszkadza, że aż chcesz się go pozbyć? Nie może sobie rosnąć, a ty po prostu sobie dalej żyj? - Łapię ją za łokcie, a ona nagle przestaje stawiać opór.

Patrzymy na siebie. Dwie istoty z Jagiellońskiej.

Ja – niska, chuderlawa dziewczynka, której daleko do damy i leczenia kompleksów mamy. I ona - wysoka, prosta jak struna, umalowana, w jaskrawej obcisłej sukni.

- A widzisz, Nikolo... - mówi spokojnie – Widzisz... właśnie wołałabym, żeby go tu nie było. Żeby już dłużej mi nie przypominał... Nie przypominał... - jej wzrok robi się zamglony, już jakby mnie nie widzi.

- Czego? Mamo! Czego nie przypominał? - dyszę.

Ale jeszcze tym razem nie dowiaduję się tego.

Mama wychodzi na hybrydy.

Końcówka lat dziewięćdziesiątych.

Ho, ho!

Niektórzy już mają telefony komórkowe, duże jak piórniki, z grubymi antenami. Całe podwórko przy Jagiellońskiej 3 wie, kto na jakim poziomie żyje.

Wiedzą dorośli, wiedzą dzieci.

- Jakie gry video najbardziej lubicie? - pyta Jacek, którego tata ma aż trzy komputery: Spectrum, Commodore i Atari. Jacek każdy dzień rozpoczyna grą – przygodówką Fantasy 7.

- Ja... Disney Alladin! - Alicja obejmuje delikatny, kosmaty pień młodego sumaka. Siedzą sobie dzieciaki na skwerku, gdzie kilka kępek trawki zachęca do codziennego krótkiego pikniku. Niektóre siedzą na murku, inne zrobiły sobie siedziska z cegieł lub podłożyły reklamówki pod zadki. Centrum spotkań jest niedawno zasadzony sumak octowiec. Dziwne, rozgałęzione drzewko o sylwetce egzotycznej. Jak mały parasol albo poroże jakiegoś zwierza. Jest lato, więc dzieci odruchowo dotykają błyszczących liści. No dobra, czasami je zrywają, ot tak sobie.

Przecież jest ich tyle. Liści. Bo dzieciaków ledwie czworo, nie licząc Bebeli, która zawsze jakąś bzdurą strzeli i nawet nie ma pojęcia, w co się teraz gra.

- Wolę Croca! - mruży oczy Iza i czule imituje bohatera gry – krokodyla – za pomocą dwóch gałązek sumaka. - Oj! - jedna gałązka się złamała. No nic. Jest ich jeszcze tyle.

Miło się spotykać pod takim liściastym parasolem. Człowiek tego potrzebuje. Coś w rodzaju schronienia, odgradzenia od reszty świata. Ten jest jeszcze niewielki, akurat na czwórkę dzieci.

- To gra dla maluchów... - mądrzy się Jacek, a Mariusz jednym ruchem zarzuca nogę na gałąź sumaka i wisi jak leniwiec.

- Ja jestem za Kapitanem Pazurem i nie podskakiwać mi tu! - Buja się tak, że rozhuśtał cały sumak.

- Nie no, Pazur, to też dla małych – prychna pogardliwie Jacek, ale już muszą się wszyscy zrywać i wiać, bo z wrzaskiem biegnie w ich kierunku rozwścieczona pani Mataj. A ona ma przyspieszenie, z którym trzeba się liczyć.

- Do bramy! - krzyczy Iza i razem z Alicją, Jackiem i Mariuszem, zakosem znikają w ciemnej czeluści.

- Diabły wy wcielone! - wygraża pani Mataj – Posadzone takie ładne drzeweczko, a te zdewastują wszystko! Po co to giry zarzucać na gałązki, łamać girami roślinę! Szkodniki wy jedne, niech ja waszych rodziców dorwę, już ja im opowiem, oooo, poczekajcie! - i pędzi do mieszkania po konewkę pełną wody i podlewa, i zasila to młode cudo, takie wyjątkowe, co zwie się też oryginalnie: sumak. To sam prezes spółdzielni mieszkaniowej sprowadził i kazał zasadzić po takim sumaku na każdym z trzech podwórek. A co! Niech wiedzą, że nie samą topolą czy lipą człowiek żyje. Że światowy teraz, osobliwości pragnie! Tylko te dzieciary paskudne. Szczęście, że coraz częściej wolą przed telewizorem czy komputerkiem tkwić – przynajmniej trawy nie depczą, drzew nie łamią.

- Poszła? - wychyla się Alicja i oczywiście, znowu cała czwórka wędruje pod sumak. Co tu mówić, przyjął się. Dzieciaki go lubią. Psy też. Inaczej niż dorośli, ale równie szczerze.

- Patrzcie, Bebela idzie! - świzzcze Mariusz i już gapią się na wysoką, tyczkowatą dziewczynkę, która niesie plastikowe wiadro pełne śmieci.

- Chodź, Bebela! Chodź tu! - zachęca Iza. Nie, żeby lubili tę niezgrabę, ale zawsze to atrakcja, taka niedopasowana osoba.

- Matajowa znowu szalała, daliśmy jej popalić. Było ją słychać? A wąsiska ma takie; baby z wąsami to groźne są – Mariusz robi sobie z liścia sumaka wąsy i wszyscy się śmieją, bo ma on, ten Mariusz, talent aktorski.

Śmieje się i Bebela, zadowolona, że oto siedzi sobie na piramidce z cegieł, z innymi dziećmi i wygląda jakby była lubianą koleżanką.

- Ja też, ja też! - krzyczą Alicja i Iza, bo nagle bardzo chcą być groźnymi babami z wąsami. Furkocze cienki pęd огоłaczany z liści. Podobno można się zatruć sokiem z sumaka, tak słyszeli. To ich jeszcze bardziej napędza do zrywania liści. Uważają jednak, by nie stykać się z płynami drzewa.

- Zostawcie – prosi Bebela – Boli go.

- Kogo boli? Sumaka boli? - Mówi basem Iza z liściowym wąsiskiem.

- Tak. Zobaczcie, cały poszarpany.

- Może powiesz, że to też go boli? - Mariusz wymierza lekkiego kopniaka w sumakowy pień, aż na trampku robi się rysa.

- Tak! - Bebela, chuda i wysoka, z wielkimi oczami i zadartym nochem, naprawdę wierzy w to, o czym mówi. Dzieci chichrają się już na całego.

- A to, to on też odczuwa, ten pan sumak? - złośliwie pyta Alicja, wydając z kieszeni klucz i ryjąc nim w pniu kilka kresiek.

- Zostaw! - Bebela chwyta ją za rękę, ona odpycha Bebelę, która, choć wysoka i szczupła, nie umie utrzymać równowagi. Za to też jej nie lubią, że niezgraba. I spodni – dzwonów nie nosi, choć by chciała - bo nie ma za co jej kupić babcia, z którą mieszka.

- Bebela, uważaj, bo ci się spódnica w kratę porwie. Takie spódnice noszą faceci w Szkocji! - zauważa Jacek i pękają ze śmiechu nad leżącą na wiadrze od śmieci Bebelą.

- A wiesz co to jest Disney Alladin? - pyta Iza, gdy zawstydzona dziewczynka siada, stawiając obok wiadro.

- Czytałam Alladyna. - odpowiada i otrzepuje rajtuzy.

- Czytała!!! - rechocze Mariusz – Czytała! W to się gra na video!

- Uwaga, Matajowa! - alarmuje Iza i w czwórkę oddalają się od sumaka.

- Mam cię, gałganico! - sąsiadka chwyta Bebelę za ramię, mocno aż boli, a Bebela jest taka chuda i już wie, że robi się siniak. - Niszczyć roślinność egzotyczną, za drogie pieniądze nabytą!

- Niczego nie zrobiłam... - tłumaczy Bebela, ale Matajowa wlecze ją, złorzecząc na całe podwórze. Pan Darek, jeszcze wtedy z pełnym uzębieniem, chwyta Bebelę za drugie ramię i prowadzi do babci.

Bebela płacze, nie ze strachu. Żal jej babci.

Boi się też, że gdy się okaże, że źle ją wychowuje, odbiorą babci wnuczkę. Strach myśleć, co wtedy będzie. Bebela zna słowo: placówka.

Później (nie dużo później, ale jednak później) dziewczynka wraca po wiadro.

Nie może pozwolić sobie na łyzy w miejscu publicznym, choć powstrzymuje je z trudem, jakby miały jej zaraz wypaść gałki oczne. Mruga i mocno zamyka oczy, i głęboko oddycha. Ale oddech jest urywany i bardziej przypomina szloch.

- Nie jestem, Bebela. Jestem Beata! Beata! Beata! - krzyczy szeptem, o ile to w ogóle możliwe. Okazuje się, że tak.

Siada na obróconym do góry dnem czerwonym plastikowym wiadrze, tuli twarz do pnia sumaka.

Szkoda, że to jest lato i tak późno się ściemnia. Wszyscy ją pewnie widzą. Z okien.

Beata zamyka oczy i czujnie drzemie. Jeszcze te dzieciaki tu przybiegną i znowu udowodnią jej pecha, który nigdy dziewczynki nie opuszcza.

- Sumak jest dobry. Nic nie powie. Nie wyśmiej. Nie zdradzi. - szepcze cichusieńko. Gładzi pokryte aksamitnym meszkiem gałązki. Ale miło jest tylko wtedy, gdy przebywa tu sama. Sumak i Beata.

Mija rok i Beata - Bebela jest jeszcze wyższa, najwyższa w klasie.

Sumak też rośnie jak ona, a nawet szybciej. Obejrzała sobie inne sumaki w Szczecinie. Ten jest nie taki wysoki, nie taki rozłożysty, odkąd Mariusz połamał najwyższą gałąź, huśtając się na niej. Ale i tak jest najładniejszy, najkochańszy. To jej sumak. Codziennie go mija.

- Ciebie to naprawdę uwielbiam – szepcze do niego, gdy jej smutno i gdy jej wesoło.

Gdyby miała aparat fotograficzny, zrobiłaby mu zdjęcie. Jesienią, gdy jest taki czerwony, jak pomalowany. Beata go podziwia, jak przyjaciela, którego się serdecznie podziwia, śmiało i ufnie. Beata lubi podwórko, właśnie dzięki niemu.

Jeszcze nosi tę uszytą przez babcię spódnicę w kratę, która kiedyś tak się jej podo- bała, a później już wcale. Bo takie noszą faceci w Szkocji. Tak powiedzieli. Babcia bardzo się starała, by Beata miała wszystko, co do życia potrzebne. I ona to doceniała.

- Kiedy wyrosnę z tej spódnicy, nie wyrzucę jej, o nie. Zostawię ją na pamiątkę, babciu. - mówiła serdecznie, a babcia na to:

- Podłóżę ci i będzie w sam raz! Mam jeszcze pół metra tego materiału.

I dziwiła się, że wnuczka nie skacze z radości.

Właśnie nadchodzi jesień i liście sumaka robią się ciepło żółte, zapowiadając kolory ognia i słońca. Ach, gdyby tak mieć aparat...

I wtedy to się wydarza.

Wydarza się i Beata przy tym jest, wszystko widzi i słyszy, najulotniejszy szczegół, choć wolałaby, by jej przy tym nie było. A najlepiej, gdyby to w ogóle się nie wydarzyło.

- Bebela! - dziewczynka podskakuje ze strachu, bo była pewna, że sama stoi przy sumaku. Zapada mrok. Odłożyła siatkę z zakupami na pachnącą jesienią ziemię i przytuliła się do sumaka. - Bebela! Gadaj zaraz, co ci się tak w tym badyłu podoba!

Mariusz, wysoki już jak ona i do tego pulchny i gładki, robi minę kretyna, opiera się o pień tuż obok niej.

- Mam na imię Beata. - Ona już nie jest taka strachliwa. Wie, że będzie musiała w końcu stoczyć walkę. Walkę o swoją tożsamość. O prawo do spokojnego życia, bez zaczepiek, zastraszania i wyśmiewania. Łatwiej tym, którzy mają wsparcie – niektórzy całe rodziny. Są tacy, co nigdy nie muszą walczyć, nikt nie śmie im doku- czyć. Spróbowałby, zaraz przybiegnie mamusia lub tatuś.

Jej nie ma kto bronić. Babcia jest już słaba, była zawsze łagodna i dobra. Beata to szanuje.

Każdy musi kiedyś stoczyć swoją walkę. Ona – już teraz. Na to wychodzi. Trzyma

dłoń na pniu sumaka i czuje, że przejmuje część jego siły.

- No co ty powiesz? Beata!???? To znam cię tyle lat, a nie wiedziałem! Masz coś do ukrycia, że używasz pseudonimu? - Mariusz robi balon z gumy do życia. Prawie dotyka tym balonem twarzy Beaty. Ona czuje obrzydzenie, ale nie cofa się ani o krok.

- Odejdź. - oświadcza twardo. - Odejdź! Przyjdź później!

- Coś tu sobie wyjaśnijmy. - gęba Mariusza jest przy pniu sumaka. Prawie tam, gdzie ona. - To ty odejdiesz. I wrócisz, gdy ci pozwolę.

- Nie.

- Co: nie? Bebela! Przyjrzyj się sobie. Gdybym był tobą, odszedłbym natychmiast. Szpecisz to podwórze, ten świat. Tak jak te witki! I co ty widzisz w tym drzewie? Co? Co?! - krzyczy i odpycha Beatę.

- Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj tego drzewa! - ona nie ustępuje. Coś ją ciśnie w głowie i każe walczyć.

Podbiega do nich mały piesek.

- Zjeżdżaj! - rozjusza się Mariusz! - Zjeżdżaj i ty, i ty! - ryczy do Beaty i do psa, i ujmuje w graby najwyższą gałąź sumaka. Ciągnie ku sobie. Zahacza nogą.

- Puść! - tarmosi go Beata, ale jest ciężki, za ciężki, by go ściągnąć na ziemię. Piesek odskakuje na bezpieczną odległość.

- Który badył najbardziej ci się podoba?! Ten? A może tamten? O nie, widzę, że ten! Masz to wypisane w oczach!

- Złaź! - Beata ciągnie Mariusza za kurtkę. On pluje na nią gumą do żucia i to ją dekoncentruje.

On już jest na drzewie. Dosiada jeszcze wyżej, jeszcze bujniejszej gałęzi.

Żółte liście lecą Beacie na twarz, jak piórka wielkanocnego kurczaczka.

- Zejdź! Odejdź!

- Zobacz! Zobacz jak ginie twój ulubieniec! - chłopak rozbijał drzewo. Rumiane poliki otaczają wyjąca z ekscytacji jamę ust.

- Przestań! Nie wolno ci! Natychmiast złaź! - Beata rozgląda się w poszukiwaniu kogokolwiek. Pierwszy raz w życiu jest w stanie poprosić kogoś dorosłego o pomoc, biec. Ale jak na złość jesienne podwórze jest puste. Nie ma wąsatej, nadpobudliwej pani Mataj. Nie ma pana Darka, który zwykle pije wino na pochylonej i spróchniałej ze starości ławce.

- Patrz! Masz na to patrzeć, Bebela! Masz się żegnać z tym zielskiem! - wyje Mariusz, a piesek, który wciąż im się przygląda, zaczyna gwałtownie szczekać. I właśnie wtedy ten najwyższy konar, na którym wisi chłopak, w mgnieniu oka łamie się. Nie nadłamuje, tylko łamie. Łamie! Łamie!!!

Mariusz spada w przyspieszonym tempie, a Beata to wszystko widzi. Jak on upada na plecy. Jak uderza głową w piramidkę z cegieł, którą postawili jeszcze latem. Ona słyszy tępy, stłumiony odgłos uderzenia ciała o ziemię i równolegle – jeszcze jedno dyskretne, bardziej dźwięczne łupnięcie czaszki w zderzeniu z czymś twardszym. Mariusz, leżąc, wciąż trzyma się gałęzi. A potem, jego nogi i ręce opadają bezwładnie na ziemię, a konar osiada na tułowiu chłopaka.

Beata – Bebela nie może się ruszyć.

- Pomóż mi... - szepcze do sumaka. Ale on stoi nadszarpnięty. lecz niewzruszony.

Nagle Beata widzi, że cegły są całe zalane krwią.

Zrywa się, wpada do najbliższej klatki schodowej i wali pięściami w najbliższe drzwi.

Piesek za nią.



Przez tę zimę i wiosnę Beata szybko przemierza podwórko. Nie rozgląda się. Tylko raz odważyła się spojrzeć na drzewko. Ktoś ustawił solidną blaszaną podpórę z wnęką na naruszone konary. Dzięki temu sumak mógł rosnąć i odbudowywać się. Ale na tej złamanej wtedy gałęzi już nie wyrosły liście. Pozostała gruba i szorstka. Jakby komuś groziła.

Więcej o tym nie myślała.

- Kiedy dorosnę, wyprowadzę się stąd... - przemknęła jej kiedyś refleksja. - Od razu się wyprowadzę. Daleko.

Raz tylko widziała potem Mariusza. To znaczy... babcia powiedziała do niej:

- O, Mariusz. A jednak go poskładali. No widzisz, wszystko dobrze się skończyło.

Ale ta postać na noszach, postać, którą nieśli z karetki do mieszkania, nie przypominała Mariusza.

To był poowijany w koce i błyszczącą folię walec z wystającymi rurkami i przezroczystymi pojemnikami na drucianych statywach.

Nigdy go później nie zobaczyła.

- Mamo.... - podeszłam do zwiniętej na sofie Beaty. - Mamo.... To nie była wina sumaka. To nie była twoja wina. Ani tego pieska.

- Jednak się nie wyprowadziłam. - przygarnęła ramieniem mnie - córeczkę, ani trochę nie damę. - Nie miałam pieniędzy i... może silnej woli. Sprowadziłam tu

tatę. I może spadł na niego mój pech.

- Ale urodziłam się ja! Mamo! - podskoczyłam w jej ramionach. - A wiesz... mnie jest tutaj dobrze.

- Najgorsze, że polubiłaś to drzewo. Myślałam, że padnę! Gdy pierwszy raz zobaczyłam jak moja Nikola ściska ten pień...

- To geny, mamo. Widocznie to geny.

- Chyba z nimi nie da się walczyć...

- To co my zrobimy, mamo?

- Nie mamuj mi tu bez przerwy. Uważaj, złamiesz mi hybrydy – mama rozczapierzyła palce i mogłam podziwiać jej turkusowe paznokcie, jak miniaturowe obrazki.

- Teraz słuchaj mamo. - Wybiegłam do swojego pokoju i zaraz wróciłam z moim laptopem w objęciach.

- Oprócz zdjęć, mam drugi folder. Zatytułowany: „Sumak – historie”.

- To już jedną znasz. Moją.

- A teraz, mamo, będę zbierać następne. Już nawet mam drugą, w dyktafonie. Zaraz ją zapiszę. Opowiedziała mi pani Mataj.

- Co??? Z nią w ogóle da się rozmawiać?

- Spróbowałam. I posłuchaj, to jest całkiem śmieszna historyjka!

- Coś podobnego.

- Sumak ma ich na pewno wiele! Będę chodziła i pytała. Wszystko zapiszę.

- Tak bardzo chcesz zachować to drzewko...

- Mhmmm...

- Nikola... kiedy ty wreszcie staniesz się damą...

- Może jutro, mamo.

Historyjka pani Małaj

(przekaz słowny)

- A co mnie podstawia pod usta same? Może do paszczy wetknie? Dydafon? Dykafon? Dyktafon? Słyszał kto takie nazwy? Niech Nikola oddali to, bo jeszcze jakiej choroby promienistej dostanę. Historyjka z sumakiem, z tym chwastem uprzykrzonym. I co jeszcze? Zaraz... Nikola mnie nagrywa tym dydafonem? Co za czarodziejstwo, żeby gadać, a potem to gadanie gdzieś zamknąć w przyrządzie jakim? Nikola mówi, że bezpieczne? To się okaże za sto lat... Aha, ten sumak...

Zaraz.... On mnie zrujnował małżeństwo ten cały sumak. Ale i poratował.

Było tak:

Jeszcze ze mnie młodziutka kobitka była, ledwie sześćdziesiąt lat liczyłam. Dokładnie dwadzieścia jeden lat temu: powie Nikola temu dydafonowi, żeby odnotował, bo data – ważna sprawa. Pomyślałam: młoda jeszcze jestem, mogę za męża iść. Zakochanego w sobie miałam, Stanisław mu było, fryzjer artystyczny! A tak! Taki mnie sobie umiłował.

- Bogusia – mówił, bo ja Bogusia mam na imię - Niech z nas będzie para do grobowej deski, my pasujemy do siebie. Ty włosy masz obfite, bo ja, Nikola uwierzy, miałam masę włosów, cała głowa obsypana chmurą taką. Na czarno farbowałam. No więc, mawiał Stanisław „Ty włosy masz obfite, ja fryzjer. Będę robił ci fryzurki”.

- No nic – do siebie zagaduję – Już ja mu się zaprezentuję. Już on padnie z wrażenia.

Cały dzień robiłam sobie tapir na pół metra wysoki.

Nikola nie wie, co to tapir? Że zwierzę? Tapir, to dziecko moje, była taka fryzura do

góry – włosy nie przyklapnięte, nie. Grzebykiem przez kilka godzin szorowałam każde pasemko.

Nikola mówi, że nie na temat, niech zamilknie. To o sumaku, obiecałam, i zaraz będzie o tym, co Nikola chce, żeby było.

Lato w pełni, to jeszcze wzięłam konewkę, żeby podlać sumak, co wtedy wydawał mi się naszą dumą i egzotycznym skarbem podwórka.

Ubrałam się, wystroiłam jak na święto, a Stanisław zaraz przybędzie. Z ciętym kwieciami, z samochodu wysiądzie, stanie i klęknie.

- Zdążę – mówię – podlać jeszcze nasz sumak, nasz skarb. Podchodzę ja z konewką, uwijam się, odrosty odrywam, podlewam – gotowe! A tu, jak mnie coś chwyci za łeb! Chwyci i trzyma! Ani w jedną stronę się udać, ani w inną.

Co za diabeł?! Nikola nie rozumie?

Kiedy ja się uwijała, mój tapir wplatał się w cienkie gałązki i liście sumaka. Im ja się bardziej krzątała, tym mocniej tapir mój nawijał się na gałęzie i oplatał kolby.

- Rany boskie – myślę już przerażona jak zwierz w pułapce. - Stanisław czeka w samochodzie, od ulicy, ja nie mogę się ruszyć. I moja fryzura.

Wpadłam w panikę, szarpać się zaczęłam, jak małpa w klatce wyć za wolnością utraconą. Mało łba mi nie urwało. Nijak się uwolnić. Włosie jak u potwora, połowa powyrywana, reszta z gałęziami jedno drzewo stanowi. Jak ja się pokażę na tym spotkaniu miłosnym? Taka we mnie siła wstąpiła, że – myślę – wydrę sumaka z korzeniami i razem z całym drzewem do kudłów przytroczonym udam się na oświadczyń.

Ale jam drzewa nie wydarła. Nie dała rady.

Połowa fryzury została na sumaku, ja, poraniona, odrapana, w sukni dziurawej, z łysiną i cięciami na skroni poczłapałam do domu.

Czy Stanisław długo czekał? Nie wiem, uznała ja, że to zła wróżba i nie stawię się na to całe przyszłe nasze małżeństwo.

I co Nikola powie?

Ożenił się potem Stanisław z jedną taką i zaraz, miesiąc po ślubie wyjechał do Azji, i tam tygrys go zaraz pożarł.

Widzi Nikola.

Od tamtego dnia i lubię ten sumak i nie lubię. I tak i nie.

Ale jeśli już Nikola tak bardzo chce, tak lata i miesza, cofniemy petycję i zostawimy drzewisko. Ale żeby potem nie było na mnie, jeśliby kto stracił włosy albo co innego cennego dla niego.

Dydafon słyszał?

I tak udało mi się uratować nasz sumak, nasze biedne i sławne drzewko na malutkim skwerze. A może udało mi się uratować coś więcej?

To było cały rok temu. Dziś mam już folder pełen historyjek i sumak ma się dobrze, a nawet lepiej.

A jeśli chcecie dołączyć swoją opowieść z sumakiem, to zapraszam was na nasze podwórko. Szczecin, Jagiellońska 3.

Ja, Nikola, i sumak octowiec, zapraszamy.

Może coś, ale tylko miłego lub śmiesznego, wam się przydarzy?

W każdym razie - już szykuję dydafon.

*Upiorna okolica Buła znad jeziora Głębokiego,
czyli o tym, jak ważna jest ekologia i recykling*



Adrian Kopp

Nasłuchiwał uważnie. Wyczekiwał tych cichutkich skrobnięć i tych szybkich susów. Był cierpliwy, ale nieco się martwił o swoją przyjaciółkę – Rudą - wiewiórkę z bardzo żywym temperamentem oraz przepięknym i puszystym rudym futerkiem, z którego była bardzo dumna. I miała ku temu powody! Bardzo dbała o swoje futerko, by było czyste, lśniące i zdrowe. Właśnie, zdrowe.

– HMM... - westchnął cicho Buk-Upiór, który miał już ponad 200 lat.

– MAM NADZIEJĘ, ŻE POPRAWIŁO SIĘ JEJ. OSTATNIO NIE WYGLĄDAŁA ZBYT DOBRZE. PEWNIENIE ZJADŁA COŚ, CO JEJ ZASZKODZIŁO. CORAZ WIĘCEJ TYCH BLASZANYCH POJAZDÓW, CORAZ WIĘCEJ ZANIECZYSZCZEŃ, CORAZ WIĘCEJ CHORYCH ROŚLIN I ZWIERZĄT, CORAZ TRUDNIEJ ODDYCHAĆ. A TAK BARDZO MY, DRZEWA, STARAMY SIĘ, BY POWIETRZE BYŁO JAK NAJCZYSTSZE – zasmuciło się drzewo, patrząc na najbliższą okolicę, która prawie tonęła w śmieciach. – GDYBY TYLKO LUDZIE BARDZIEJ WSPÓŁPRACOWALI Z NAMI NA TYM POLU. BO CO MOGĄ SAME ZWIERZĘTA I ROŚLINY, JEŚLI LUDZIE ZACHOWUJĄ SIĘ TAK, A NIE INACZEJ? – Upiór westchnął po raz kolejny i nadstawił uszu. Znaczący, nadstawiłby uszy, gdyby je miał. W każdym razie uczynił to w odpowiednim momencie, bo właśnie dotarł do niego tak bardzo oczekiwany i upragniony dźwięk. Susy Rudej rozpoznałby z każdej odległości.

- Upiorku! Upiorku! Tęskniłam strasznie! Nawet nie wiesz, jak bardzo – powiedziała wiewiórka, nieco wolniej i ciszej niż zwykle, ale brzmiała o wiele lepiej od momentu, gdy drzewo słyszało i widziało ją po raz ostatni.

– Tak mi bardzo... - zaczęła Ruda.

- MNIE TEŻ CIĘ OGROMNIE BRAKOWAŁO – przerwał jej Buk, co się nie zdarzało zbyt często. – TĘSKNIŁEM ZA ROZMOWAMI Z TOBĄ I ZA TWOJĄ OBECNOŚCIĄ – dodał po chwili.

Ruda poczuła, jak nabiegają jej do oczy łzy. Łzy wzruszenia. Buk Upiór był jej najlepszym drzewnym przyjacielem, ale nie była przyzwyczajona do okazywania uczuć przez tego starego mruka. Zamrugnęła kilka razy, by się nie rozpłakać. W końcu miała dobre wiadomości.

- Upiorku, już czuję się dużo lepiej, naprawdę. Zaszłam się, odpoczęłam i nabrałam sił. Wiesz, odpoczynek służy każdemu. Widzisz moje futerko? Już wygląda o wiele lepiej. Porządnie je wyszorowałam, wyczyściłam każdy włoszek i skórę przy każdym włosku i dzięki temu znów wygląda na takie puszyste i zdrowe. Wiesz, tu ważna jest dobra dieta... – zaczęła się rozpędzać Ruda.

Drzewo, gdyby tylko miało usta i nos, uśmiechnęłoby się pod nosem.

– RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA – rzekło. – SŁYSZĘ, ŻE NAPRAWDĘ CZUJESZ SIĘ O WIELE LEPIEJ. I MASZ RACJĘ, TWOJE FUTERKO ROBI OGROMNE WRAŻENIE – dodał Upiór po chwili.

Wiewiórka wtuliła się w liście Buki. – No tak, bo ja w sumie nie o tym – zaczęła po chwili. – Bo jak tak odpoczywałam w swoim ulubionym miejscu w koronach drzew, to dużo myślałam. W sumie schodziłam tylko na posiłki, a tak to właściwie tylko leżałam, i słuchałam, i myślałam. I chciałam z Tobą znowu porozmawiać o ludziach – dodała nieco ciszej, bo wiedziała, że drzewo nie uważa ludzi za swoich najlepszych przyjaciół. Co prawda Upiór ponoć znów się do nich powoli przekonywał, ale to wszystko trwało baaaaardzo długo. Szczególnie z perspektywy wiewiórki.

Drzewo zaszumiało, ale nic nie powiedziało. Cieszyło się obecnością przyjaciółki.

- Bo słuchaj, Upiorku. Ja dużo słyszałam przez te ostatnie dni i to nieprawda, że wszyscy ludzie są tacy sami. Fakt, są tacy, co śmiecą i niszczą. Niszczą nawet to, co sami tworzą – jak te tablice wzdłuż ścieżki – ale są też inni! Są tacy, co sprzątają po sobie i podnoszą nawet nie swoje śmieci! Są tacy, co dbają i pomagają roślinom wokół, są tacy, co dokarmiają zwierzęta – i to pysznymi nasionami i ziarnami, a nie tym chlebem, co to nam szkodzi - wyliczała Ruda z przejęciem. – I wiesz, oni też używają takich trudnych słów jak se-, sergo-, eee, se-gre-go-wa-nie śmieci i – tu zwolniła na chwilę, by się skupić - recykling. A to ponoć bardzo dobre rzeczy! – powiedziała, strzygąc uszkami.

- TAAAAK, SŁYSZAŁEM O TYCH SEGREGACJACH ŚMIECI I RECYKLINGACH. TE POJĘCIA, ZNACZY SŁOWA ZNACZA, ŻE LUDZIE STARAJĄ SIĘ DZIELIĆ ŚMIECI PRZYKŁADOWO NA PLASTIK, SZKŁO CZY PAPIER I UŻYWAĆ ICH RAZ JESZCZE,

BY NIE PRODUKOWAĆ NOWYCH ŚMIECI, TYLKO WYKORZYSTYWAĆ TE KTÓRE JUŻ SĄ. TO NAWET SŁUSZNY POMYSŁ, CHOCIAŻ LEPIEJ BY BYŁO, GDYBY W OGÓLE NIE ŚMIECILI – powiedziało bardzo wolno drzewo. – I NIE UKRYWAM, ŻE WOLAŁBYM, BY WIĘCEJ BYŁO TYCH SPRZĄTAJĄCYCH, NIŻ ŚMIECĄCYCH. BYŁOBY CZYŚCIEJ, ZDROWIEJ I LEPIEJ ODDYCHAŁOBY SIĘ - tu Upiór popatrzył znacząco na swoją wiewiórczą przyjaciółkę.

- No tak, masz rację – powiedziała Ruda. – W KOŃCU PRAWIE ZAWSZE MASZ RACJĘ – dodała, udając Upiora. Akurat to zdanie zdarzało mu się powtarzać bardzo często. I była to prawda – Buk zazwyczaj miał rację – w końcu żył już bardzo długo i wiedział bardzo wiele. – Ale sam mówiłeś, że nieco się w ludziach zmieniło i że nieco bardziej dbają o naturę – rzekła wiewiórka. – Ale, żeby nie było, że ja tak tylko sobie język strzępię – zaczęła, uśmiechając się. W końcu usłyszała głosy, na które czekała od kiedy tylko wpadła dziś do Upiora z wizytą. – Patrz tam – rzuciła, wskazując łapką na ścieżkę.

Ścieżką wzdłuż jeziora Głębokiego szła dosyć duża grupa ludzi. Nieśli kolorowe worki i uważnie patrzyli na drogę oraz tereny wokół niej, co chwilę coś podnosząc.

- HMM, Z PEWNOŚCIĄ MASZ BARDZO DOBRE WYCZUCIE CZASU NA ROZPOCZĘCIE TAKIEJ DYSKUSJI – powiedział Buk, z rozbawieniem patrząc na bardzo dumną wiewiórkę. Drzewo domyśliło się, co to za działania. Co jakiś czas odbywały się takie. Domyśliło się również, czemu akurat dzisiaj jego przyjaciółka rozpoczęła ten temat.

– Bo wiesz, oni zbierają śmieci – wyjaśniła zupełnie oczywistą rzecz Ruda. – Do żółtego wkładają plastik, do zielonego szkło, a do niebieskiego papier. Czyli segregują, a potem re-, rekcy-, recy-, poddają recyklingowi – zakończyła z ulgą walkę z trudnym dla niej słowem. – A sam mówiłeś, jak to dobrze, że nie będą tworzyć nowych śmieci, tylko wykorzystają do innych celów te śmieci, które już są – dodała triumfująco.

- ECH, RUDZIEŃKA – zaśmiało się drzewo. – MASZ W ZUPEŁNOŚCI RACJĘ. ZRESZTĄ, MÓWIŁEM CI, ŻE ZACZYNAM ZNOWU WIERZYĆ W LUDZI. ALE TEN

PROCES U MNIE MOŻE TROCHĘ POTRWAĆ. MUSZĄ CZĘŚCIEJ I BARDZIEJ UDOWADNIAĆ, ŻE ZALEŻY IM NA NATURZE – NA ROŚLINACH ORAZ ZWIERZĘTACH – dodał Upiór już nieco poważniej. – POWINNI PRODUKOWAĆ MNIEJ ŚMIECI, OSZCZĘDZAĆ CENNA WODĘ, ZUŻYWAĆ MNIEJ ENERGII, POCHODZĄCEJ OD NATURY, A TAKŻE NIE MARNOWAĆ ŻYWNOŚCI. IM WIĘCEJ BĘDZIE TAKICH LUDZI – I TYCH WIĘKSZYCH, I TYCH MNIEJSZYCH... – ciągnął swoim wszytkowiedzącym tonem Buk.

- Czyli dorosłych i dzieci – wtrąciła się Ruda.

- IM WIĘCEJ DOBRYCH, EKOLOGICZNYCH POMYSŁÓW LUDZI, TYM WSZYSCY BĘDIEMY ZDROWSI I SZCZĘŚLIWSI – dodało drzewo niezrażone. – A TERAZ ZMYKAJ, RUDZIA. ODPOCZNIJ SOBIE PRZEZ RESZTĘ DNIA – powiedział Upiór, zauważając, że te chwile podekscytowania kosztowały jego przyjaciółkę dużo energii. W końcu dopiero wracała do zdrowia.

- Tak, masz rację. Zdrzemnę się najpierw, potem posprzątam w dziupli i dokończę oglądać te piękne miejsca, po których spacerowałam wczoraj, a potem już na pewno wezmę się za obowiązki – na odchodne rzuciła wiewiórka, schodząc z drzewa na ścieżkę tuż po tym, jak gromadka sprzątających okolicę ludzi poszła dalej. – W końcu każdy człowiek, który wynosi z lasu śmieci, także nie swoje, zasługuje na docenienie, prawda? – zapytała już z ziemi z wielkim uśmiechem na pyszczku i pobiegła w las, nie czekając na odpowiedź.

Upiór patrzył za oddalającą się Rudą, uśmiechając się w myślach. Podziwiał ją, że nawet w trudniejszych chwilach bardzo optymistycznie podchodziła do życia i starała się widzieć we wszystkim i we wszystkich to, co najlepsze. Także w ludziach. – TEGO POWINIENEM SIĘ OD NIEJ NAUCZYĆ – pomyślało drzewo. – TO BARDZO CENNE I POMOCNE – dodało po chwili, widząc posprzątaną wokół okolicę, która przez kilka chwil znacząco wypiękniała.

Urodzinowe wspomnienia upiornego Buksa, czyli o tym, jak przeszłość wpływa na dzisiaj



Adrian Kopp

Wiosna była wyjątkowo piękna tego roku. Lekki wiatr kołysał jasnozielonymi liśćmi i poruszał z wyczuciem taflą jeziora, a temperatura była idealna do spacerów i długich rozmów. Od czasu do czasu spadł deszcz, jeden z tych sympatycznych deszczy – drobny, ciepły i gaszący pragnienie wszystkich okolicznych roślin – od najmniejszych traw po największe drzewa. Zarówno mała wiewiórka o imieniu Ruda, jak i ponad dwustuletni Buk noszący imię Upiór, bardzo cenili taką pogodę, uwielbiali godzinami rozmawiać i spędzać ze sobą czas. Szczególnie wiosną, gdy okolica jeziora Głębokiego budziła się do życia we wspaniałych odcieniach zieleni i stare drzewo mogło wspominać najwspanialsze swoje lata. Ruda niesamowicie lubiła słuchać Upióra – była bardzo ciekawa tego, co działo się kiedyś, szczególnie w tej okolicy. I wiedziała, że dziś czeka ją jakaś wyjątkowa opowieść. W końcu dziś obchodziła swoje pierwsze urodziny!

- Upiorku, Upiorku, aż się nie mogłam doczekać! - zaczęło zwierzątko z prędkością błyskawicy - Na pewno wiesz, że dziś mam urodziny, ale na wszelki wypadek powiem ci raz jeszcze. Mam dziś urodziny, mam dziś urodziny! Jestem już dużą wiewiórką i mam roczek, oczywiście według....

- WEDŁUG RACHUBY LUDZKIEJ – wtrącił Upiór, odnosząc się do wieku Rudej.

Ruda zawsze mówiła szybko. I dużo. Buka z początku to męczyło, ale im drzewo starsze, tym cierpliwsze, więc spokojnie dawał się wygadać swojej przyjaciółce, często wiedząc z dużym wyprzedzeniem, co ma mu do powiedzenia.

- No, wiem, wiem. I po prostu całą noc myślałam o tym, o czym mi opowiesz. Bo wiesz, chciałabym usłyszeć o czymś miłym, sprzed wielu wiosen, może być związane z ludźmi – wyliczała. – Bo oni mnie niesamowicie fascynują. Znaczą ci ludzie. Ich głośność, energia, umiejętność tworzenia (i psucia, niestety) pojazdów, budynków i nawet dzieł sztuki – bo właśnie tak nazywają te najładniejsze rzeczy – dzieła sztuki, wiesz? A jak myślisz, czy ja mogłabym być dziełem sztuki? – zamyśliła się wiewiórka, prostując się i przybierając pozę jak modelka. – Bo ty jesteś dziełem sztuki. Znaczą natury. Znaczą natura stworzyła ciebie i zostałeś dziełem sztuki... naturalnej! – zakończyła radośnie, przypominając sobie, co jakiś czas temu mówili ludzie, patrząc na jej drzewnego przyjaciela.

Upiór zaszumił cicho, myśląc, czym może zaskoczyć Rudą. Opowiadał jej już o bardzo wielu rzeczach – tych smutnych i tych wesołych, a i ludzie w jego opowieściach często się pojawiali. Skoro jednak dziś była ważna rocznica, bo związana z urodzinami jego małej przyjaciółki, postanowił opowiedzieć o czymś, co również z rocznicą było związane. Jednak z rocznicą zupełnie inną i o wiele dłuższą.

- RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA – zaczęło drzewo tonem starego bazarza, który wie wszystko o wszystkim i wszystkich – DAWNO, DAWNO TEMU, BO STO WIOSEN JUŻ MINĘŁO OD TEGO CZASU... I BARDZO, BARDZO BLISKO, BO WOKÓŁ TEGO JEZIORA WŁAŚNIE STAŁO SIĘ COŚ, CO NA ZAWSZE ODMIENIŁO TĘ OKOLICĘ – kontynuował Buk. – WÓWCZAS ŻYLI TU LUDZIE, KTÓRZY MÓWILI INNYM JĘZYKIEM, NIŻ DZIŚ. TA OKOLICA NIE BYŁA POLSKĄ, A NIEMCAMI. SKORO ZAŚ BYŁ TU TEREN NIEMIEC, TO LUDZIE NAJCZĘŚCIEJ ROZMAWIALI W JĘZYKU...

- Niemieckim, tak wiem. Jestem tylko ciekawa, skąd ty wiesz. Przecież nie interesujesz się za bardzo życiem ludzi i nie chce ci się nawet nauczyć ich języka – przerwała mu wiewiórka. – No ale pewnie OPOWIADAŁY CI O TYM KRUKI – zaśmiała się naśladując drzewo. – Ała! – krzyknęła Ruda po tym, jak Upiór uszczypnął ją lekko gałęzią w łapkę. – No dobrze, dobrze, już nic nie mówię. Kontynuuj – powiedziało zwierzątko, masując się po szczypiącym miejscu.

Buk westchnął cicho i wrócił do opowieści. – WCZEŚNIEJ TA OKOLICA BYŁA TERENEM SPACERÓW, ALE NATURA DOMINOWAŁA. LUDZIE POJAWIALI SIĘ JAKO GOŚCIE I NIEZBYT LICZNIE. NATOMIAST STO WIOSEN TEMU POWSTAŁO TU KĄPIELISKO. KĄPIELISKO TO MIEJSCE...

- Do którego ludzie przychodzą się kąpać, pływać, spędzać czas na piasku – wtrąciła Ruda. Chciała powiedzieć coś więcej, ale nie chciała, by Upiór znowu ją uszczypnął, więc zamilkła.

- TAK, DOKŁADNIE – potwierdziło drzewo. – LUDZIE PRZYGOTOWALI PLAŻĘ, SPROWADZILI PIASEK, ZBUDOWALI POMOST I USUNĘLI STAMTĄD NIECO ZIELENI. BALIŚMY SIĘ, ŻE MOŻE BĘDĄ CHCIELI ZNISZCZYĆ O WIELE WIĘCEJ, ALE NA SZCZĘŚCIE NIE. MIEJSCE TO STAWAŁO SIĘ CORAZ BARDZIEJ POPU-

LARNE. PRZYCHODZIŁO TU CORAZ WIĘCEJ LUDZI. SPACEROWALI, BRALI KĄPIELE SŁONECZNE, SPOŻYWALI POSIŁKI NA ŁONIE NATURY, PŁYWALI ŁÓDKAMI PO JEZIORZE... DO TEGO UBIERALI SIĘ W ZUPEŁNIE INNY SPOSÓB, NIŻ DZIŚ. KOBIETY NOSIŁY DŁUGIE SUKNIE ORAZ DUŻE KAPELUSZE, A MĘŻCZYŹNI, CZĘSTO NAWET W BARDZO UPALNE DNI, NA SPACER CHODZILI W GARNITURACH I TAKŻE ZDARZAŁO SIĘ IM NOSIĆ KAPELUSZ. ALE PRZED WSZYSTKIM – kontynuował Upiór – PODCZAS SPACERU PODZIWIALI NATURE, ROZMAWIALI ZE SOBĄ, SŁUCHALI PTAKÓW I NIE MIELI TYCH ŚWIECĄCO-BRZĘCZĄCYCH URZĄDZEŃ – Buk zawiesił głos.

- Telefonów komórkowych? Nie mieli komórek? Jak to? To co robili ze swoim życiem? Przecież to niewyobrażalne. Oni ciągle mają przy sobie komórki – emocjonowała się wiewiórka.

- AJEDNAK – przytaknął Upiór. - I MAM WRAŻENIE, ŻE CZAS BEZ TYCH KOMÓREK SPRAWIAŁ, ŻE LUDZIE LEPIEJ SIĘ CZULI WE WŁASNYM TOWARZYSTWIE I SPĘDZALI GO W BARDZIEJ UDANY SPOSÓB – zadumał się.

Ruda zamyśliła się. Ciężko było jej sobie wyobrazić ludzki świat bez komórek. Był to nieodłączny element każdego człowieka, którego widziała. Jakby część ich ciała! – Dobrze, wróćmy do twojej opowieści. Co się działo po tym, jak zbudowali to kąpielisko? – zapytało zwierzątko.

- POTEM ZACZAŁ SIĘ ZMIENIAĆ TAKŻE KRAJOBRAZ – drzewo ciągnęło opowieść. – OKAZAŁO SIĘ, ŻE WOKÓŁ JEZIORA GŁĘBOKIEGO POWSTAJE OSIEDLE MIESZKANIOWE. MOŻESZ SOBIE WYOBRAZIĆ, JAK SIĘ WYSTRASYLIŚMY. MYŚLELIŚMY, ŻE TO NASZ KONIEC – ŻE ANI ROŚLINY, ANI ZWIERZĘTA, ANI JEZIORO – ŻE NIE PRZETRWAMY TEGO, ŻE NAGLE POJAWI SIĘ TU ZBYT WIELE LUDZI. LUDZI, KTÓRZY BĘDĄ WSZYSTKO WYCINAĆ, NISZCZYĆ I BUDOWAĆ SVOJE SIEDLISKA. ZNACZY DOMY – zwrócił się do Rudej.

- Ale przecież są tu dziś i rośliny, i zwierzęta, i jezioro też chyba jest to samo – spojrzała w stronę wody wiewiórka.

- TAK, MASZ RACJĘ – uśmiechnął się Upiór. – NA SZCZĘŚCIE ZAKAZANE BYŁO WYCINANIE DRZEW BEZ ZGODY WŁADZ MIASTA, A WSZELKIE BRAKI WŚRÓD MOICH DRZEWNYCH PRZYJACIÓŁ MIAŁY ZOSTAĆ UZUPEŁNIONE. ZNACZY W PRZYPADKU ZNIKNIĘCIA JEDNEGO DRZEWA TRZEBA BYŁO POSADZIĆ INNE. POŻEGNAŁEM SIĘ WTEDY NIESTETY Z KILKOMA BLISKIMI PRZYJACIÓŁMI, ALE MÓGŁ NAS CZEKAĆ STRASZNIEJSZY LOS – westchnął cicho Buk. – JEDNAK JUŻ WTEDY LUDZIE PLANOWALI, BY TA OKOLICA BYŁA CICHA, SPOKOJNA I PIĘKNA – TAK, BY MOGLI TU ODPOCZAĆ W TOWARZYSTWIE NATURY – zamilkł na dłuższą chwilę. – POTEM PRZYSZŁA WOJNA, A PO WOJNIE NIEMCÓW ZASTĄPILI POLACY. POLAKOM SPODOBAŁ SIĘ POMYSŁ NA TO MIEJSCE I ODBUDOWALI WSZYSTKO TO, CO WOJNA ZNISZCZYŁA WOKÓŁ. STĄD DO DZIŚ JEST TU KĄPIELISKO – JUŻ Z NOWYMI ATRAKCJAMI – I DALEJ MOŻNA SPOTKAĆ TU TAKICH STARYCH MIESZKAŃCÓW, JAK NA PRZYKŁAD JA – zakończyło drzewo.

- Ale nie było ci przykro, że ludzie tak zbliżyli się do tej okolicy, zajmując miejsce niektórych z twoich przyjaciół? – zapytała cicho wiewiórka.

- OCZYWIŚCIE, BYŁO MI SMUTNO. ALE POTEM UZNAŁEM, ŻE LEPSZY TAKI KOMPROMIS NIŻ ŻADEN – odpowiedział Upiór.

- Kompromis? – spytała Ruda, drapiąc się po główce.

- KOMPROMIS TO RODZAJ POROZUMIENIA. Z REGUŁY POLEGA NA TYM, ŻE OBIE STRONY COŚ ZYSKUJĄ LUB COŚ TRACĄ. NIGDY NIE JEST TAK, ŻE TYLKO JEDNA STRONA OSIĄGA SWOJE CELE, A DRUGA ZUPEŁNIE NIC Z TEGO NIE MA – wytłumaczyło drzewo.

- I w tej sytuacji... - zaczęło zwierzątko.

- TERENY ZUPEŁNIE ZIELONE NIECO ZMNIEJSZYŁY SIĘ, ALE WIELE ROŚLIN I ZWIERZĄT PRZETRWAŁO. MY DAJEMY LUDZIOM ODPOCZYNEK, PIĘKNO I SPOKÓJ, A ONI DBAJĄ (PRZYNAJMNIEJ WIĘKSZOŚĆ Z NICH), BY ZIELONA OKOLICA DALEJ TRWAŁA – OD CZASU DO CZASU SPRZĄTAJĄ OKOLICĘ, ZAKŁADAJĄ REZERWATY I NAZYWAJĄ NIEKTÓRE DRZEWA POMNIKAMI PRZYRODY –

tu Upiór wyprostował się dumnie, bo sam był takim pomnikiem – I DBAJĄ O NIE, BY TE WYJĄTKOWE OKAZY NATURY PRZETRWAŁY JAK NAJDŁUŻEJ. I WIEDZĄC, JAK LUDZIE POTRAFIĄ SIĘ ZACHOWAĆ WOBEC ROŚLIN I ZWIERZĄT, DOCENIAM TEN KOMPROMIS I STARAM SIĘ CIESZYĆ Z TEGO, CO MAM – zakończyło drzewo.

Ruda spojrzała na swojego przyjaciela i uśmiechnęła się. W dobry humor wprawiała ją myśl, że Upiór tak pozytywnie może podchodzić do czegoś związanego z ludźmi. Z reguły miał do nich większy dystans.

- Czyli ten plan sprzed ponad stu wiosen jest nadal realizowany z szacunkiem do natury, prawda? – zapytała nieśmiało wiewiórka.

Drzewo zaszumiało w odpowiedzi, przytakując swojej przyjaciółce. Miało tylko nadzieję, że ludzi, którym zależy na dobru roślin i zwierząt, będzie coraz więcej. W końcu przyszłość naszej planety w dużym stopniu zależy właśnie od tych dwunożnych stworzeń. – OBY KAŻDY CZŁOWIEK – TEN DUŻY I MAŁY – DOCENIAŁ I DBAŁ O NATURĘ. TYLKO WTEDY NAS WSZYSTKICH CZEKA POMYŚLNA I SZCZĘŚLIWA PRZYSZŁOŚĆ – zaszumiało, nieco pouczająco.

Ruda miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Była tego niemal pewna. W końcu bardzo wierzyła w ludzi. – Pomyślna i szczęśliwa przyszłość – powtórzyła w myślach słowa Upiora i udała się do domu.

*Ruda i liściasta rodzinka się powiększa,
czyli o tym czy bycie mamą i tatą jest upiorne*



Adrian Kopp

- POWIEDZ MU, TO PRZECIEŻ BARDZO WAŻNE.

- Nie no, naprawdę? Jesteś pewna? Bo nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy i nie wiem, czy wiesz... wypada. W końcu on ma zupełnie inną perspektywę, prawda? Ty się na tym lepiej znasz...

- NO CÓŻ, AKURAT W NASZYM PRZYPADKU TO ZUPEŁNIE BEZ ZNACZENIA, BO WIDZISZ...

- Jak to bez znaczenia? Przecież ty jesteś ty, a on jest on. Znaczy... No... Tu chodzi o te... płcie! Że żeńska i męska!

- SPOKOJNIE, NIE PRZERYWAJ. WIDZISZ – MY JESTEŚMY JEDNOPIENNI...

- Jedno co?

- JEDNOPIENNI. TO ZNACZY, ŻE KWIATY ŻEŃSKIE I KWIATY MĘSKIE WYSTĘPUJĄ NA TYM SAMYM OSOBNIKU.

- Aaaaaaaa! Naprawdę? To niesamowicie niesamowite! Ale przecież jesteś jego żoną, więc myślałam...

- FAKT, JESTEM MU NAJBLIŻSZA I ŁĄCZY NAS NAPRAWDĘ WIELE, ALE W PRZYPADKU NAS, BUKÓW, POJĘCIE ŻONY I MĘŻA MOŻE BYĆ NAPRAWDĘ NIECO INNE.

- No tak, chyba rozumiem. No dobrze, to pójde z nim porozmawiać...

Od rana z okolicy, i to tej najbliższej, dobiegały Upiora jakieś dźwięki. Trochę szumów, trochę jazgotów, trochę szeleszczeń. Buk jednak odbywał właśnie wspa-
niałą podróż po swoich wspomnieniach, których miał naprawdę wiele. Akurat myślał o tym, gdy miał dopiero piętnaście wiosen i okolica była bardziej zielona, czystsza i spokojniejsza, gdy poczuł znajome łaskotanie.

- ACH, RUDA – westchnął przyjaźnie. Lubił odwiedziny swojej wiewiórczej przyjaciółki.

- Dzień dobry, Upiorku – zaczęło nieśmiało zwierzątko.

- KAŻDY DZIEŃ TWOICH ODWIEDZIN JEST DOBRY – odrzekł Buk, ciesząc się z tych odwiedzin po dosyć długiej, jak na wiewiórkę, przerwie. Upiór domyślał się, jaki był powód tej przerwy, ale wolał poczekać, aż Ruda sama poruszy ten temat. To dotyczyło jej, więc jeśli będzie chciała i będzie gotowa, to z pewnością mu o tym opowie.

- Oj, Upiorku... Jesteś chyba w naprawdę dobrym humorze – uśmiechnęła się wiewiórka, delikatnie zaskoczona. Drzewo raczej było nieco mniej pozytywne. Rzadko mówiło tak miłe rzeczy uważając, że jak już raz się coś powie, to nie ma sensu tego powtarzać. - JEŚLI SIĘ COŚ ZMIENI, TO DAM ZNAĆ - tak zawsze powtarzał Upiór. – No dobra, bo ja w sumie chciałabym ci o czymś powiedzieć. Rozmawiałam przed chwilą z Wampirzycą, twoją żoną – kontynuowała, wskazując na drzewo stojące nieopodal – i ona mnie dopiero uświadomiła o twojej je-dno-pien-ności – zwolniła, wyraźnie wymawiając nowo poznane słowo – co znaczy, że na pewno mnie zrozumiesz i na pewno mogę z tobą o tym porozmawiać! – zakończyła radośnie.

Buk zaszumiał pogodnie. – RUDA, RUDZIA, RUDZIENKA. OCZYWIŚCIE, ŻE JESTEM W DOBRYM HUMORZE. BARDZO LUBIĘ POCZĄTEK LATA – zaczęło drzewo, odnosząc się do początku bardzo długiej wypowiedzi wiewiórki. – TO O CZYM CHCIAŁABYŚ MI POWIEDZIEĆ, MOJA MAŁA PRZYJACIÓŁKO? – zapytało drzewo.

– W sumie powiedzieć i poradzić, bo widzisz... - urwała Ruda na chwilę.
– No, zostałam mamą – rzuciła szybko, patrząc na reakcję drzewa. Było jednak nieporuszone. - Dlatego też cię nie odwiedzałam, bo byłam niesłuchanie zajęta. Wiesz, jak dużo jest obowiązków przy czwórce wiewiórcząt? A na początku były takie maleńkie, bez włosków. Nie widziały i nie słyszały, jedynie czuły swoimi wibrysami, czyli takimi jakby włoskami na pyszczku i na łapkach. Były takie maleńkie, bezbronne i niesłuchanie głodne – mówiła szybko Ruda, uśmiechając się szeroko na wspomnienie o swoich pociechach. – Teraz, jak już Cegiełka, Płomienka, Kasztanek i Ogieńek są nieco większe, to postanowiłam cię wreszcie odwiedzić. Szczególnie, że uświadomiłam sobie, a Wampirzyca potwierdziła,

że przecież też jesteś rodzicem! – wykrzyknęła promiennie, wtulając się w korę Buka.

Upiór popatrzył ciepło na swoją przyjaciółkę. Pamiętał ją jeszcze sprzed roku, jako zaledwie kilkumiesięczną wiewiórkę, tak młodą i radosną, a teraz Ruda została mamą. – ACH, JAK TEN CZAS LECI. SZCZEGÓLNICIE DLA TYCH MAŁYCH ZWIERZĄTEK, BO JEDNAK JA MAM ZUPEŁNIE INNĄ PERSPEKTYWĘ – westchnął nostalgicznie Buk.

– RUDZIEŃKA, GRATULUJĘ CI OGROMNIE! TO BARDZO WAŻNE WYDARZENIE W TWOIM WIEWIÓRCZYM ŻYCIU! Z PEWNOŚCIĄ ZADBASZ O SVOJE WSPANIAŁE MALUCHY, ZARÓWNO TE, JAK I NASTĘPNE – powiedziało głośno drzewo, pamiętając, że w ciągu swojego życia wiewiórka może mieć nawet ponad 50 małych wiewiórczątek.

- No tak, wiem, wiem. Przynajmniej wydaje mi się, że wiem, co robić. Moja mama mi mówiła, a jej mówiła jej mama i tak dalej, i tak dalej – westchnęła Ruda. – Ale to dla mnie zupełnie nowe i trochę się obawiam, nie ukrywam – westchnęła cichutko. – Wiem, że muszę je karmić, dbać o ich bezpieczeństwo i czystość, uczyć ich pewnych rzeczy... Ale nie spodziewałam się, że to wszystko będzie aż tak wyczerpujące – rzekła.

- Z PEWNOŚCIĄ JEST – zgodził się Buk. – I NA PEWNO ZASŁUGUJESZ NA CHWILĘ ODPOCZYNKU. SZCZEGÓLNICIE TERAŻ, GDY JUŻ ZACZĘLI TRZECI MIESIĄC SWOJEGO ŻYWOTA. OCZYWIŚCIE WEDŁUG...

- WEDŁUG RACHUBY LUDZKIEJ – wtrąciła ze śmiechem wiewiórka, naśladując głos drzewa. – A zaraz, skąd wiesz, ile mają miesięcy? – z zaskoczeniem zapytała Ruda.

- ECH, MOJA MAŁA PRZYJACIÓŁKO... WIELE WIOSEN DOŚWIADCZENIA I WZOROWA SPOSTRZEGAWCZOŚĆ – puściło oko drzewo. Znaczący, puściłoby – gdyby tylko miało oczy. – PÓKI WIESZ, ŻE SĄ BEZPIECZNE, ODPOCZNIJ SOBIE, TO BARDZO WAŻNE. I ZOBACZYSZ, JUŻ NIEDŁUGO BĘDĄ NA TYLE SAMODZIELNE, ŻE JESZCZE BĘDZIESZ TĘSKNIŁA ZA KAŻDĄ CHWILĄ, NAWET TĄ MĘCZĄCĄ, KTÓRĄ Z NIMI SPĘDZIŁAŚ – dodał Upiór, nieco melancholijnie.

- Ech, wierzę ci na słowo, przyjacielu. I na pewno będę tęskniła za tymi urwisami. Już tęsknię. Ale jak sam mówiłeś – chwilka ciszy i odpoczynku wyjdzie mi tylko na dobre – powiedziała wiewiórka, moszcząc się wygodnie w gałęziach drzewa. – A właśnie, jak to jest z tobą? Masz kontakt ze swoimi dziećmi? Tęsknisz za nimi? – zapytała Ruda, ukrywając ziewnięcie.

- HMMM – zamyślił się Upiór. – PAMIĘTASZ, CO CI OPOWIADAŁEM O GRZYBNI? ŻE ŁĄCZY NASZE KORZENIE I POMAGA W KOMUNIKACJI ZE SOBĄ? DZIĘKI NIEJ NAWET MOŻEMY PRZEKAZYWAĆ SOBIE INFORMACJE I PRZESYŁAĆ POŻYWIE-NIE CZY WSPARCIE PRZECIWKO ZAGROŻENIOM – zaczęło wolno drzewo. – DLATEGO Z WIĘKSZOŚCIĄ SWOICH DZIECI MAM ŚWIETNY KONTAKT. CO NIE DOSZUMIMY DO SIEBIE, TO PRZEKAŻEMY PRZEZ GRZYBNIĘ. NIEKTÓRE Z MOICH MŁODYCH DRZEW MAJĄ JUŻ PRZESZŁO 100 WIOSEN! – powiedział Buk z dumą. - CO PRAWDA NIEKTÓRE Z NASION WYWIAŁO ZBYT DALEKO I NIE ZE WSZYST-KIMI MAM KONTAKT, ALE I TAK JESTEM SZCZĘŚLIWY Z TAK DUŻEJ, ROZROŚNIĘ-TEJ RODZINY – zakończył Upiór.

Odpowiedziało mu cichutkie chrapanie. – OJ, MOJA MAŁA PRZYJACIÓŁKO. MUSISZ BYĆ NIESAMOWICIE ZMĘCZONA. ALE ZDRZEMNIJ SIĘ, ZASŁUGUJESZ NA TO I POTRZEBUJESZ TEGO – powiedziało cicho drzewo, osłaniając Rudą swoimi liśćmi od lekkiego wiatru. – BYCIE RODZICEM TO PRAWDZIWE WYZWANIE. I JAK SIĘ JUŻ ZACZĘŁO, NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY. DLATEGO MUSIMY O SIEBIE DBAĆ, BO JAK MOŻEMY KOGOŚ WSPIERAĆ I KOMUŚ POMAGAĆ, GDY SAMI NIE JESTEŚMY W NAJLEPSZEJ FORMIE. PRAWDA, WAMPIRZYCO? – zakończył swoim wszytkowiedzącym tonem Upiór.

W odpowiedzi usłyszał szumiące potwierdzenie swojej żony. Z czułością spojrzeli na rudą wiewiórkę, śpiącą cicho w ramionach Buka. – NASZA RUDA ZOSTAŁA MAMĄ – westchnęli oboje, myśląc o tym, jak czas szybko mija.

- PAMIĘTASZ, JAK SAMI DENERWOWALIŚMY SIĘ O NASZE PIERWSZE POTOM-STWO? – zapytała szeptem Wampirzyca. – DOPIERO PO JAKIMŚ CZASIE NABRA-LIŚMY DO TEGO DYSTANSU. NAUCZYLIŚMY SIĘ, ŻE NIE Z KAŻDEGO NASIONKA WYROŚNIE MAŁE DRZEWKO, A NIE KAŻDE DRZEWKO PRZEBIJE SIĘ WŚRÓD

INNYCH OKOLICZNYCH DRZEW NIEMAL DO SAMEGO NIEBA, STAJĄC SIĘ PIĘK-
NYM I DORODNYM BUKIEM.

- TAK, MASZ RACJĘ, MOJA WYJĄTKOWA TOWARZYSZKO – odparł równie cicho Upiór. – JEDNAK STARALIŚMY SIĘ DBAĆ O KAŻDE Z NASZEGO LICZNEGO POTOMSTWA, POMAGAJĄC W MIARĘ NASZYCH MOŻLIWOŚCI. MY JEDNAK MAMY ZUPEŁNIE INNĄ PERSPEKTYWĘ. ŻYJEMY O WIELE DŁUŻEJ, NIŻ NASZA MAŁA PRZYJACIÓŁKA I PRAWDOPODOBNIEMIE BĘDZIEMY ŻYĆ, GDY PO NASZYCH GAŁĘZIACH BĘDĄ BIEGAĆ JEJ DZIECI, WNUKI I PRAWNUKI – kontynuował.

- TYM BARDZIEJ JESTEM Z NIEJ DUMNA. RADZI SOBIE NIESAMOWICIE – z lekkim wzruszeniem Wampirzyca spojrzała na wiewiórkę.

- BO JEST NIESAMOWITA. W KOŃCU TO NASZA RUDA – zakończył Buk, lekko szeleszcząc liśćmi do snu swojej maleńkiej przyjaciółce.

Dąb Frater



Wojciech Kuczyński

Moje narodziny... nie pamiętam, kiedy to było. Jednak doskonale pamiętam okoliczności moich narodzin. Dawno temu żyło trzech braci-rozbójników, napadających na podróżnych w tych okolicach. Pewnego dnia spotkali oni harfiarza i jego córkę. Dziewczyna była cudnej urody, więc zbójcy usilnie zabiegali o jej względy. Doprowadziło to do kłótni między braćmi, w wyniku której zaczęli ze sobą walczyć i pozabijali się. Dziewczyna pochowała ich pod głazami, z których powstały trzy wzgórza: Bukowiec, Klasztorny i Kopytnik. Ona sama jednak po tych strasznych przeżyciach nie chciała już wracać do ludzi. Przemieniła się zatem w drzewo, a tym drzewem jestem ja. Jakaś jej częśćka wciąż jest we mnie, dlatego to wszystko pamiętam. Nazywają mnie Frater, jestem jednym z największych dębów w tej części Puszczy Bukowej.

Rosnę już wiele lat w tym miejscu i niejedno było mi dane widzieć. Tysiące przechodzących ludzi, odwiedzających te okolice, setki aut przejeżdżających ulicą znajdującą się obok mnie, nieprzeliczone rzesze zwierząt, ptaków i owadów, korzystających z osłony moich liści. Byłem świadkiem mnóstwa historii, zarówno tych smutnych, jak i wywołujących na twarzy człowieka uśmiech. Słyszałem niejedno wyznanie miłości, ale też wiele gorzkich słów, łamiących serce drugiego człowieka. Pomimo tego, że rosnę daleko od gromad ludzkich, to o ludziach nauczyłem się już wiele.

Szczególną uwagę darzę pewną specyficzną grupę ludzi. Chodzą ubrani na zielono i spędzają mnóstwo czasu w Puszczy Bukowej. Oglądają szczegółowo każde drzewo, karcą tych, co śmieją w lesie, zimą dokarmiają dzikie zwierzęta, a latem pilnują, by te nie zapuszczały się do siedzib ludzkich. Nazywają ich leśnikami i - o ile dobrze rozumiem - ich pracą jest dbanie o Puszcę.

Jednak nie jestem teraz tego całkiem pewien, bo kilka wiosen temu pojawił się pewien leśnik, który jest strasznie niemiły. A co najgorsze, to on chyba jest szefem tych pozostałych leśników.

Dziwni są ci ludzie.

Michał Dębowiec zaczął pracę w Lasach Państwowych niecały rok temu, świeżo po skończeniu studiów. Wcześniej ukończył technikum leśne, także nie miał problemów z dostaniem pracy leśnika. Nie myślał jednak, że tak szybko będzie musiał zderzyć się z betonem.

- Panie Januszu! Proszę się jeszcze raz zastanowić! Wycinka drzew tak blisko pomnika przyrody?!

- Drogi panie Michale... - stary nadleśniczy Janusz Rzezacz spojrział znad monitora przy biurku na młodego tak, jak stary pies patrzy na szczeniaka.

- ...Musi pan zrozumieć, że w tej okolicy już od dawna grasują szkodniki, niszczące tamtejszy drzewostan. Jeżeli nie wytniemy tych drzew teraz, to szkodniki rozprzestrzeniają się na cały las.

- Jest pan tego pewien? Nie mogłem nigdzie znaleźć dokumentów omawiających badania tych drzew...

- Nic dziwnego, w końcu pracuje pan tu nieco ponad dwa miesiące, panie Michale. Zapewniam pana, że takie badania zostały już przeprowadzone, a pan nie musi się tym przejmować, gdyż to nie są obecnie pana obowiązki. A propos, jak tam idzie realizacja zadania, które panu przydzieliłem?

- Ma pan na myśli zliczenie watah dzików we wschodniej części Puszczy? Jest to bardzo duży teren i zajmie mi to jeszcze trochę czasu...

- No to proszę nie zwlekać panie Michale! Potrzebujemy pilnie tych danych, by wiedzieć, czy mieszkańcy okolicznych wiosek nie muszą się obawiać niespodziewanych gości pod bramami!

Po tym nadleśniczy bezceremonialnie odwrócił się do komputera i zaczął coś przeglądać na ekranie. Michał już zdążył się nauczyć, że to oznacza koniec rozmowy. Skinął lekko głową przełożonemu, odwrócił się i wyszedł z biura.

Znajomy Michała uprzedzał go, że nadleśnictwo Gryfino jest całkiem niezłym zbiorowiskiem betonu i "dziadków nie do ruszenia". Michał chciał jednak pracować

możliwie jak najbliżej Szczecina, z którego pochodził - głównie z powodu rodziny i sentymentu. Nie było jednak tak źle, jak się spodziewał, wielu starszych leśników okazało się być bardzo w porządku. Jedynie nadleśniczy Rzezacz okazał się... stereotypowym januszem. Wąsaty, z pokaźnym brzuszyskiem i zakolami sumiennie dążącymi do przekształcenia się w łysinę, wyglądał tak stereotypowo, jak tylko się dało. No i ten jego charakter... Przecież takiego stanowiska nie może pełnić ktoś, kto jest napędzany głównie chęcią zysku! Przynajmniej tak myślał Michał, ale już na tyle długo stąpał po ziemskim padole, że zdawał sobie sprawę ze swojej naiwności. Poza tym dowiedział się od starszych kolegów z pracy, że pan Janusz nie zawsze był taki - dopiero parę lat temu pojechał do Warszawy na jakieś bardzo ważne spotkanie wyżej postawionych pracowników Lasów Państwowych i jak wrócił, to nagle zaczął szukać wszelkich źródeł zarobku w Puszczy Bukowej. Nikt poza samym Januszem nie znał kulisów tego wyjazdu, jednak wielu przypuszczało, że Rzezacz, jak i wielu innych dostało od kogoś bardzo wysoko postawionego propozycję nie do odrzucenia: albo wycisnięcie jak najwięcej pieniędzy z polskich lasów, albo pożegnanie się z pełnioną funkcją. Dodatkowo od dwóch lat ceny drewna na światowym rynku biły rekordy, co tylko dodawało impetu drzewnej maszynie do robienia pieniędzy.

Michał jednak zawsze był optymistą i liczył na to, że w jakiś sposób dotrze do swojego szefa i przekona go, by ten nie zatwierdzał wycinki drzew w okolicach Przełęczu Trzech Braci.

Od niedawna widuję w moich okolicach nowego leśnika. Jakiś młody chłopak, niemal codziennie przychodzi w moje okolice i dokładnie ogląda moich młodszych braci, rosnących po drugiej stronie drogi. Jest on strasznie wysoki i chudy, do tego piegów ma tyle na twarzy, jakby go ktoś czymś pochlapał. Zwraca szczególną uwagę na tych z braci, którzy zostali oznaczeni przez innych leśników kolorowymi kreskami i napisami. Zresztą tak szczerze - to w ogóle dawno tu nie było tylu leśników. Przyjeżdżają swoimi autami, chodzą po okolicy, oznaczają inne drzewa, czasem staną w moim cieniu i zapalą papierosa albo zjedzą kanapkę. Większość z nich sprawia wrażenie, jakby robili coś, co nie sprawia im przyjemności. Wyjątkiem jest ten wąsaty i gruby niemilec. Nie pojawia się tak często, ale jak już

przyjście (nigdy nie przyjdzie! Zawsze do przemieszczania się używa tego smrodzącego pojazdu), to patrzy na mnie i moich braci tak, jakby chciał nam zrobić coś... złego. Złego dla nas, ale dla niego bardzo dobrego. Trochę się go brzydzę, ale bardziej mi jest żal tego człowieka. Widziałem takie spojrzenie u wielu i z reguły kończyło się to źle.

Michał był tu już trzeci raz w tygodniu. Pomimo męczącego zadania zleconego przez nadleśniczego, wciąż znajdował czas, by pojawić się na Przełęczy Trzech Braci i szukać tego szkodnika, o którym mówił Rzezacz. Nic jednak nie znalazł, chociaż drzewa oznaczone do wycięcia oglądał już tyle razy, że niemal na pamięć znał rozmieszczenie na nich sęków i gałęzi. Próbował także rozmawiać z innymi leśnikami, biorącymi udział w wybieraniu drzew do ścięcia; ci jednak ignorowali go, dawali do zrozumienia, by za bardzo nie jątrzył tej sprawy albo czasem wręcz brutalnie sprowadzali go do parteru, wytykając mu jego brak doświadczenia i wścibianie nosa w nie swoje sprawy. Po około godzinie młody leśnik dał sobie spokój z szukaniem niewidzialnego szkodnika i zrezygnowany poszedł do terenowego auta, by próbować dalej liczyć dziki dla Rzezacza.

Gdy prowadził auto, rozdzwonił się jego służbowy telefon. Michał zjechał na pobocze i spojrzał na ekran smartfona. Dzwonił Rzezacz. Młody leśnik przez chwilę się zawahał - domyślał się, jak będzie wyglądać rozmowa - ale po chwili odebrał.

- Dzień dobry, panie Januszu, w czym mogę panu pomóc?

- Panie Dębowiec! Niech pan mi powie, gdzie pan niedawno był?!

- Byłem niedaleko Płoni, bo dostałem informacje o dzikach w tej okolicy. Teraz jadę do Motańca...

- A to ciekawe, panie Michale, bo ja słyszałem, że dosłownie godzinę temu był pan na Przełęczy Trzech Braci! Czego pan tam szukał?! Przecież to nie jest rejon pańskiego zadania!

- Panie Januszu, ja zaraz wszystko wyjaśnię...

- Nic nie musisz mi wyjaśniać! Doskonale wiem, że cały czas męczy cię ta wycinka drzew! A ja tobie powiem, tak jak to mówi doświadczony kolega młokosowi - daj sobie spokój! Tylko sobie robisz problemy tym drażnieniem tematu!

- Panie Januszu...

- Nie przerywaj mi, bo jeszcze nie skończyłem! Nie zapominaj, że jeszcze nie podpisaliśmy umowy na czas nieokreślony! Jak będziesz dalej grzebał w rzeczach, które nie powinny cię obchodzić, to cienko widzę twoją karierę w Lasach Państwowych! Potraktuj to jak dobrą radę i zajmij się tymi dzikami!

Na tym rozmowa się skończyła, szef rozłączył się bez pożegnania. Michał był cały roztrzęsiony z nerwów, pierwszy raz spotkał się z takim zachowaniem wobec siebie. Wiedział, że stąpa teraz po bardzo cienkiej linii i od tego zależy jego dalsza kariera leśnika.

Musiło minąć kilka minut zanim chłopak opanował się na tyle, by móc dalej prowadzić auto.

Mijają dni i noce, a moja okolica jest coraz mniej spokojna. Pojawia się coraz więcej leśników, a także innych ludzi, niosących jakieś dziwne i głośnie narzędzia. Często słyszę, jak coś nimi robią w głębi lasu, czemu towarzyszy donośny wizg i trzaski. Czuję, jak z tamtej strony wiatr niesie nieprzyjemny zapach krwi moich braci. Domyślam się, co robią ci ludzie, ale pracują na tyle daleko, że nie jestem w stanie tego dostrzec. Dlaczego oni to robią? Co my im uczyniliśmy? Czy ja będę następny?

Niepokój zagościł na trwałe we mnie. Przez lata myślałem, że ludzie nie są źli, tylko głupi. Mam jednak obawy, że się myliłem.

Michał próbował wszystkiego, co mu przyszło do głowy. Przy próbie nawiązania kontaktu z centralą Lasów Państwowych od razu dostał informację, że każde nadleśnictwo ma swobodę działań w zakresie wycinki chorych drzew, a skargi i zażalenia można składać pod taki i taki adres. Natomiast gdy przyszło mu do głowy powiadomienie mediów o tej sprawie, to okazało się, że nadleśnictwo Gryfino miało już gotową opinię ekspertów w zakresie chorób drzew, potwierdzającą potrzebę wycinki. Tyle że autorami tej opinii byli jacyś kompletnie nieznani ludzie,

o których nigdzie nie dało się znaleźć żadnych informacji. Młody leśnik wiedział, że mógł jeszcze próbować wytoczyć batalię sądową, ale po pierwsze sprawa by się zapewne ciągnęła latami, a wycinka już ruszała i była to walka z czasem. Po drugie taki gest jednoznacznie przekreśliłby jego leśniczą karierę, a bardzo nie chciał tracić tej pracy. Był coraz bliżej pogodzenia się z myślą, że tak wyglądają realia jego zawodu i albo musi się z tym pogodzić, albo przekwalifikować się. Ale nie chciał tego! Jego ojciec kochał lasy i to on wpoił Michałowi miłość do otaczającej ich zieleni. Chłopak niemal od początku swojej edukacji wiedział, kim chce zostać w przyszłości i nie dopuszczał do siebie myśli, że może pracować w innym zawodzie. A może zostać ekologiem albo być jakoś inaczej powiązanym z lasami? Nie, to by oznaczało definitywne poddanie się. Musi być jakaś inna droga. Ale jaka?

Takie myśli kołatały się w głowie Michała pewnej soboty. Mimo tego, że miał wolne w pracy, to i tak wyruszył na pieszą wycieczkę po Puszczy Bukowej. Cały czas odczuwał silny stres związany z wycinką drzew i Rzezaczem, liczył na to, że na łonie natury znajdzie trochę wytchnienia. Była późna wiosna, lato zbliżało się wielkimi krokami, było ciepło i słonecznie. Jednak mimo ślicznej pogody Michał nie mógł się uspokoić. Nogi same poniosły go do miejsca wycinki drzew na Przełęczu Trzech Braci. Już z daleka widział pierwsze obalone pnie, które drwale układali w stosy i przygotowywali do załadunku. Był weekend, także nikt tu dzisiaj nie pracował. Chłopak z rozpaczą patrzył na pniaki zdrowych, silnych, lecz już nieżywych drzew, bez żadnych śladów choroby ani rzekomych szkodników, z powodu których Rzezacz zezwolił na wycinkę.

Było już późne popołudnie, ale Michał nie mógł się zmusić, by ruszyć w dalszą drogę. Był rozdarty wewnętrznie i sfrustrowany niemocą, która go opanowała. Po co to wszystko? Te lata nauki i poświęceń, setki kilometrów wydeptane na leśnych ścieżkach? Po to, by boleśnie zderzyć się ze światem? By porzucić swoje ideały, żyć dalej i udawać, że nic się nie stało? Chłopak podszedł do Dębu Fratra, zdjął plecak i usiadł pod drzewem, opierając się o nie plecami. Czuł, że musi się wygadać, nawet jeżeli jego jedynym słuchaczem będą okoliczne zwierzęta.



- I co ja mam teraz zrobić? Próbowałem gadać z nadleśniczym, próbowałem innych dróg, ale nie potrafię go odwieść od tej decyzji! Naprawdę nie wiem, jak zmusić Rzezacza, by dał spokój tej puszczy! Przecież tak nie można! Jesteśmy leśniczymi! Naszym zadaniem jest chronić las, a nie go niszczyć! Mamy sadzić drzewa, a nie je wycinać! Jak to będzie wyglądało, gdy przyjdą tutaj turyści i po jednej stronie drogi zobaczą wykarczowaną połąć lasu? Że niby w całej Polsce jest podobnie? To nie oznacza, że musimy przyzwalać na coś takiego! Naprawdę nie wiem, co robić... Czy ktokolwiek jest w stanie mi pomóc?!

Ostatnie pytanie Michał niemal wykrzyknął. Wzdrygnął się, bo nie spodziewał się po sobie tak silnego wybuchu emocji.

Lecz jedyną odpowiedzią, jaką uzyskał, był szum liści na wietrze.

Zrezygnowany wstał, wziął plecak, zarzucił go na plecy i udał się w drogę powrotną.

Wiedział, że trzeba będzie zrobić niedługo to, co konieczne i rzucić tę pracę.

A więc to tak! Ten piegowaty młodzian wszystko mi wyjaśnił! Już od jakiegoś czasu wiedziałem od wiewiórek o wycinie mych braci, którą ludzie zaczęli niedaleko stąd. Gniew, który od tego czasu we mnie narasta, można by rozdzielić pomiędzy wszystkie inne drzewa w Puszczy Bukowej i dalej byłbym go pełen! Moje młodsze rodzeństwo, w sile wieku i pełne chęci życia, tak brutalnie i bezrozumnie obalone! Cały czas się zastanawiałem, czy stoi za tym jakiś konkretny człowiek. Teraz już wiem, że tak jest. Ten chłopak pewnie kompletnie nie zdaje sobie sprawy, jaką przysługę mi wyświadczył. Wybaczam mu nawet te krzyki, którymi nastraszył pobliskie ptactwo. Kojarzę tego Rzezacza - otyłego z wąsem, którego widuję już od wielu lat w moich okolicach. Nie myślałem, że ludzie mnie kiedyś do tego zmuszą, ale pora sięgnąć po ostateczne metody. Będzie mnie to kosztowało trochę cierpienia i nerwów, ale jestem Fratrem, najstarszym dębem w okolicy. Jestem odpowiedzialny za moją zieloną rodzinę, żyjącą wokół mnie. Muszę się jeszcze tylko przygotować - odezwać się do paru starych znajomych i poprosić ich o drobną przysługę. Na pewno pomogą - w końcu to rzadkość brać udział w takim widowisku.

Był niedzielny wieczór. Nadleśniczy Rzezacz wracał od znajomego z pracy swoim służbowym autem. Humor miał wyśmienity; co prawda nic nie wypił z powodu konieczności prowadzenia auta, ale pośmiał się co niemiara. Te kubańskie cygara, którymi go częstował znajomy, były fenomenalne. Poza tym dostał cynk o leśniczym Dębowcu - dobijał się do centrali w wiadomej sprawie. Tam na szczęście go spławiono za pomocą typowej psychologii. Nie zmieniało to jednak faktu, że dziecka trzeba było się pozbyć. Dzięki informacjom od znajomego Rzezacz miał w ręku niezbijalne argumenty w kierunku poczynienia odpowiednich kroków. Wiedział już od czego zacznie poniedziałek w pracy - zaprosi młodego na rozmowę i ze smutkiem stwierdzi, że umowy na czas nieokreślony nie będzie i arrivederci. Ale będzie zabawa!

Nadleśniczy zerknął na zegarek w kokpicie auta. Kurka wodna, już 21:00! Musi się pośpieszyć, żona co prawda nagrała odcinek ich ulubionego serialu, ale wieczorne wspólne oglądanie stało się już tradycją i Maria będzie wściekła, jeżeli Janusz nie pojawi się w domu przed 22:00. Rzezacz docisnął lekko pedał gazu. Mijał właśnie charakterystyczne skrzyżowanie na Przełęczy Trzech Braci... TRACH!

Nagle przed auto spadła duża gałąź. Nadleśniczy gwałtownie wcisnął hamulec. Autem lekko zarzuciło, ale ABS zapobiegł ewentualnemu poślizgowi. Terenowy pojazd zatrzymał się centymetry przed przeszkodą. Wściekły Rzezacz zgasił silnik (ale zostawił włączone lampy), wysiadł z auta, trzasnął jego drzwiami, po czym poszedł sprawdzić, czy nie uszkodził pojazdu. Po chwili spojrzał w górę, by zobaczyć, skąd spadła gałąź.

- Cholerne, stare dębisko! - warknął pod nosem. - Już się ciebie...

Przerwał, bo nagle usłyszał wszechobecny szum liści na wietrze. Szum głośny i gwałtowny, jakby nagle zerwała się potężna wichura. Problem w tym, że nadleśniczy nie czuł na skórze najłżejszego podmuchu wiatru. Rozejrzał się dookoła i w świetle reflektorów widział potężne pnie otaczających drzew, bujające się coraz mocniej i mocniej. Wzdrygnął się, bo wydawało mu się, że najbliższe gałęzie wychylają się

w jego stronę, by go pochwycić.

“Co za głupie myśli! Nie powinienem tyle jeść przed snem!”.

Mężczyzna starał się zignorować dziwnej zjawisko, dziejące się dookoła niego. Podszedł do gałęzi leżącej na drodze, schylił się, by ją podnieść i przerzucić na pobocze...

...I zamarł.

Wydawało mu się, że wśród donośnego szumu liści słyszy jakiś głos. Na początku był on niewyraźny, ale z każdą sekundą Rzezacz rejestrował coraz lepiej dźwięki przypominające słowa. Złakł się nie na żarty. Spojrzał jeszcze raz na wiekowy dąb, z którego spadła gałąź.

I nagle go olśniło.

Dębowiec! No tak! Ten dzieciak sięgnął po skrajne metody, by odwieźć nadleśniczego od wycinki okolicznych drzew! Zrobił jakieś śmieszne widowisko, by go nastraszyć! Ale nie z Rzezaczem te numery!

- Dębowiec! Wyłaż dzieciaku! Nie nabiorę się na te twoje sztuczki!

- ...Zamilcz...

- Dobrze wiesz, chłopcze, że nie nabierzesz mnie tymi kuglarskimi sztuczkami! Pokaż się natychmiast, a może będziesz miał jeszcze szansę na utrzymanie stanowiska, jeżeli mnie ładnie przeprosisz!

- Zamilcz.

- Co, ja mam milczeć? Za kogo ty się uważasz, gówniarzu?! Teraz to już przesadziłeś! Możesz jutro zabierać swoje manatki...

- POWIEDZIAŁEM: ZAMILCZ!

Ostatnie słowa uderzyły w Rzezacza niczym obuch. Dobiegały zewsząd i były

niczym cyklon, w którego centrum stał nadleśniczy. Niemal w tej samej chwili rozległ się kolejny trzask - druga gałąź dębu, o wiele cięższa i grubsza, spadła prosto na auto. Dach i maska pojazdu były poważnie uszkodzone, niemal wszystkie szyby rozbiły się w drobny mak. Nadleśniczy aż kwiknął z przerażenia i jednocześnie potknął się o przeszkodę, zagrażającą drodze. Upadł boleśnie na tyłek, ale nie miał odwagi wstać. Widział w świetle wciąż działających lamp auta, że dookoła niego wszystkie drzewa sięgały w jego kierunku swoimi pędami. Zanim jednak zdążył cokolwiek pomyśleć, znów usłyszał przerażający głos.

- ZA KOGO TY SIĘ MASZ, ROBAKU?! NAJPIERW UZURPUJESZ SOBIE PRAWA DO OCHRONY MEGO DOMU, A POTEM GO BEZCEREMONIALNIE NISZCZYSZ! MYŚLAŁEŚ, ŻE NIE SPOTKA CIĘ ZA TO KARA?

- Jaka kara? Jakie uzurpowanie? Nie wiem, o co chodzi! Kim ty w ogóle jesteś?! - zdołał wykrztusić z siebie przerażony mężczyzna.

- NIE WIESZ, KIM JA JESTEM? A KTO ZAGRODZIŁ CI DROGĘ? KTO ZNISZCZYŁ TWÓJ POJAZD? JEŻELI DALEJ NIE JESTEŚ W STANIE POWIĄZAĆ FAKTÓW W SWOIM MAŁYM ROZUMKU, TO SPÓJRZ W GÓRĘ - ZOBACZYSZ WTEDY, KIM JESTEM!

Przerażony nadleśniczy posłusznie obrócił wzrok do góry. Jedyne jednak co widział, to szumiące opętańczo liście dębu Fratra

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś drzewem i do mnie gadasz? To niemożliwe! Ta gałąź musiała mi spaść na głowę i mam omamy! Albo naprawdę ten przeklęty Dębowiec wydał wszystkie pieniądze i urządził mi tu takie efekty specjalne, jakich nie doświadczyłbym w kinie! Tak, to na pewno to!

- NIE WIERZYSZ W TO, CO WIDZISZ I SŁYSZYSZ? W TAKIM RAZIE WSTAŃ, USZCZYPNIJ SIĘ I ROZEJRZYJ, NIEDOWIARKU!

Rzezacz posłusznie wykonał polecenia. Ścisnął skórę na przedramieniu, a ta go mocno zapiekła. Rozejrzał się wokół siebie...

...i zobaczył, że otaczają go dziesiątki oczu. Ślepie, w których odbijał się blask reflektorów auta. To były wszelkie leśne zwierzęta: ptaki, wiewiórki, sarny, dziki, borsuki, małe gryzonie i duże ssaki kopytne. Widział także błyskające w świetle skrzydła setek owadów, latających wokół niego.

To wszystko wpatrywało się w niego nieruchomym wzrokiem.

- Ja chyba śnię! To jakiś koszmar!

- TERAZ MI WIERZYSZ, ROBACZKU?! MYŚLAŁEŚ, ŻE MOŻESZ BEZKARNIE ZABIJAĆ MOJĄ RODZINĘ I BOGACIĆ SIĘ, SPRZEDAJĄC ICH TRUCHŁA?! ŻE NIE SPOTKA CIĘ ZA TO ŻADNA KARA?!

- Ale to nie moja wina! To oni mi kazali...!

- KTO?!

- No... ci na górze... moi przełożeni!

- A MYŚLISZ, ŻE CI "TWOI PRZEŁOŻENI" MOGĄ CIĘ JAKOŚ UCHRONIĆ PRZED MOIM GNIEWEM? MYŚLISZ, ŻE MAJĄ WIĘKSZĄ WŁADZĘ ODE MNIE? MYŚLISZ, ŻE OBCHODZI ICH LOS TAKICH CHŁYSTKÓW JAK TY?!

- Ale jeżeli ich nie będę słuchać, to stracę tę robotę!

- STRATA PRACY TO NIEWIELKA CENA WOBEC TEGO, CO CIĘ MOŻE TERAZ SPOTKAĆ.

Rzezacz był na skraju załamania nerwowego. To się nie dzieje naprawdę!

- Proszę cię, daj mi spokój! Zrobię, co tylko zechcesz!

- TAK MÓWISZ? W TAKIM RAZIE ODWOŁAJ TYCH, KTÓRZY MORDUJĄ MOJĄ RODZINĘ.

- Tak zrobię!

- I NIE POZWÓL, BY KTOKOLWIEK SKRZYWDZIŁ TĘ PUSZCZĘ.

- Dobrze!

- PAMIĘTAJ, ŻE JEŻELI KIEDYKOLWIEK ZŁAMIESZ DANE SŁOWO, TO NIGDY NIE OPUŚCISZ TEGO MIEJSCA, NIKT Z TWOICH BLISKICH CIĘ NIE ZNAJDZIE, A TY NIE BĘDZIESZ MÓGŁ NIC Z TYM ZROBIĆ. TEN LAS STANIE SIĘ TWOIM WIĘZIENIEM I GROBEM.

- Przysięgam, że nie złamię danego słowa! Tylko puść mnie wolno, błagam!

- I JESZCZE JEDNO. TEN MŁODY CHŁOPAK, JAK GO NAZYWAŁEŚ... DĘBOWIEC?

- Tak, Dębowiec, to jego nazwisko!

- PIĘKNE... JEMU TEŻ NIC NIE ZROBISZ. MA DALEJ CHRONIĆ TO MIEJSCE.

- Oczywiście, włos mu z głowy nie spadnie!

- DOBRZE. A TERAZ UCIEKAJ ROBACZKU I ŻEBYM JUŻ NIGDY NIE MUSIAŁ Z TOBĄ ROZMAWIAĆ.

Zwierzęta się rozstąpiły, robiąc mężczyźnie przejście. Ten szaleńczo rzucił się w jego stronę i uciekał tak długo, aż mu nie zabrakło tchu. A potem biegł jeszcze dalej i dalej, pomimo ognia, trawiącego każdy fragment jego mięśni. Reflektory auta powoli dogasały, wraz z wyczerpywaniem się akumulatora.

To był bardzo dziwny poniedziałek dla Michała. Przyszedł zrezygnowany do pracy po to, by dowiedzieć się, że nadleśniczy Rzezacz zwolnił go ze żmudnego zadania liczenia dzików i dał mu wolną rękę. Dodatkowo dotarły do niego wieści o gwałtownie wstrzymanej wycinie drzew na Przełęczy Trzech Braci. Z tego, co leśnik słyszał od współpracowników, pan Janusz zachowywał się bardzo dziwnie w pracy, zamknął się w biurze i unikał kontaktów z kimkolwiek, a wszelkie dyspozycje wydawał mailowo. Późniejsze informacje o znalezieniu jego uszkodzonego auta

na środku drogi w lesie wywołały tylko więcej pytań niż odpowiedzi. Kolejne dni były jeszcze ciekawsze: do chłopaka dotarły wieści o całkowitym zaniechaniu prac drwali niemal w całej Puszczy Bukowej. Natomiast nadleśniczy Rzezacz udał się na urlop zdrowotny, rzekomo po to by wyleczyć nadszarpnięte nerwy i w sumie nikt nie był pewien, kiedy wróci. Jego obowiązki tymczasowo przejął inny człowiek, znany ze swojej wojowniczej natury i nie ukrywający awersji do tak zwanej "góry", czyli wysoko postawionych w centrali Lasów Państwowych. Michał wiedział, że czekają ich w pracy ciężkie czasy, ale była to gra warta świeczki.

Nie dawała mu jednak spokoju sprawa uszkodzonego auta nadleśniczego. Znalaziono w jego pobliżu dwie duże gałęzie, które ewidentnie spadły z dębu Frater. Ten jednak został dokładnie przebadany i nic nie wskazywało na to, by jakieś jego konary obumierały. Do tego w czasie, kiedy prawdopodobnie zdarzył się wypadek, pogoda była spokojna i nie można było brać pod uwagę, że gałęzie oberwał silny wiatr. Jednak, co najdziwniejsze, nadleśniczy unikał samego tematu jak ognia i z tego, co słyszał Michał, nawet ludzie w Lasach Państwowych, odpowiedzialni za dokumentację wszelkich niebezpiecznych zdarzeń, nie mogli wyciągnąć z Rzezacza, co się wtedy wydarzyło, a jego szczątkowe wyjaśnienia były mgliste i niejasne, co zrzucano na karb rzeczonych nadszarpniętych nerwów. Po jakimś czasie jednak Michał stracił zainteresowanie tym tematem, rzucając się w wir nowych obowiązków, mających na celu ochronę Puszczy Bukowej. A ilekroć znalazł się w Przełęczy Trzech Braci, czuł się, jakby zawitał do domu serdecznego przyjaciela.

Nie powinienem tego robić. Wykorzystałem swoją moc, przez co złamałem chyba jedyne prawo, które musimy przestrzegać. Kara jest dotkliwa i długa; ból, który mi towarzyszy, prędko nie zniknie. Powróciły do mnie wspomnienia dziewczyny, z której powstałem. Ból płynący z głębi serca, który doprowadził do jej przemiany, był podobny do tego, który teraz odczuwam. Mimo wszystko nie żałuję podjętej decyzji i zniosę pokutę bez narzekania. Piegowaty chłopak często pojawia się w mojej okolicy, co daje mi odrobinę ukojenia.

Nazywam się Frater i jestem strażnikiem Puszczy Bukowej. Będę jej chronił do końca swoich dni.

Pomnik przyrody Dąb Frater znajduje się w zachodniej części Szczecińskiego Parku Krajobrazowego "Puszcza Bukowa". Leży na terenie gminy Stare Czarnowo, w powiecie gryfińskim. Usytuowany jest na Przełęczy Trzech Braci, u zbiegu zielonego Szlaku Woja Żeliszawa, czerwonego Szlaku Nadodrzańskiego, niebieskiego Szlaku Równiny Wełyńskiej oraz Drogi Kołowskiej. Znajduje się w obrębie oddziału leśnego 264a Leśnictwa Klęskowo.

Dąb Frater to okaz dębu szypułkowego. Drzewo ma obwód 375cm i wysokość 26m. W marcu 1999 roku Rozporządzeniem Wojewody Zachodniopomorskiego został wpisany do rejestru pomników przyrody.

Nie płacz, Wierzbo!



Marcel Mroczek

Majowa ciepła noc. Chłopiec z harmonią, posąg stojący na tyłach Szpinakowego Pałacu, ze smutkiem grał na swoim instrumencie. Dosyć miał swarów i kłótni Platanów, dumnych drzew, stojących niczym żołnierze, przy alejkach Jasnych Błoni. Wygrywana przez niego tęskna melodia docierała aż do Pomniku Czynu Polaków – ogromnej, betonowej statuy Trzech Orłów, obserwujących dzień w dzień życie szczecinian. Chcąc pocieszyć Chłopca, żelazne ptaki wzbiły się w powietrze i nie robiąc wielkiego szumu podleciały do jego cokołu. Zdziwiony tym widokiem Chłopiec zaprzestał grania i spojrzał na niespodziewanych gości:

- Ojej! A co wy tu robicie? – powiedział Chłopiec - Nie powinniście teraz pilnować nieba i wypatrywać niebezpieczeństw?

Orzeł Polonii, nazywany też Orłem Przeszłości, pokręcił przecząco głową i wskazał dziobem na swoje skrzydło, które utworzyło na oczach Chłopca coś w rodzaju zjeżdżalni.

- Mam się po tym wspiąć?

Orzeł milcząco kiwnął głową.

- Chyba nie chcecie mnie stąd porwać? Mnie tu jest dobrze, naprawdę dobrze. Nie licząc, oczywiście, incydentu z Platanami.

Orzeł Pionierów, nazywany też Orłem Współczesności, prychnął tylko drwiąco na dźwięk słowa „Platany” i zachęcił kamiennego chłopca do wejścia na grzbiet żelaznego brata. Chłopiec ostrożnie zeskoczył ze swojego postumentu, odłożył na bok kamienną harmonię i niezdarne wdrapał się po metalowym skrzydle.

- Tylko nie lećmy zbyt wysoko, bo mam lęk wysokooo...!

Nie zdążył nawet dokończyć słowa, gdy poczuł jak silne machnięcie skrzydeł wzbija ich wysoko ponad Szpinakowy Pałac. Chłopiec czym prędzej położył się plackiem na grzbiecie Orła i ze strachu zamknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył w dole mnóstwo światła, zdobiących pogrążone we śnie miasto. Spodobał mu się ten widok, przypominający usiane gwiazdami niebo. Zafascynowany nim

szybko zapomniał o strachu i pokierował lotem Orłów.

Najpierw krążyli chwilę nad Jasnymi Błoniami, wzbudzając podziw mieszkających tam drzew i krzewów, a następnie wyruszyli w prostej linii do majaczącej w oddali bazyliki. Orły zniżyły lot, by Chłopiec mógł z łatwością pozdrawiać mijane w dole pomniki.

- Hej, hej, Gryfie Pomorski! Spójrz na mnie! Jestem królem Szczecina! – krzyknął uradowany, a dalej – Ahoj, żelazny kwiecie, miło mi cię poznać! Rośnij, ile ci kamienia wystarczy! Hop, hop, Albatrosie! Może wzbiłbyś się do nas? W kupie rażniej!

Będąc nad placem Grunwaldzkim pozdrowił ogromnego Marynarza, który na tę jedną chwilę puścił ster i czapkę wymachiwał do kamiennego chłopca. Dalej zobaczył jakiegoś żelaznego rycerza na koniu. Grymas na twarzy wojownika nie wydawał się zbyt przyjazny.

- Ależ on ma groźną minę. Nie chciałbym stanąć z nim w szranki – zażartował Chłopiec – Och, a gdzie jest pomnik Cesarza? Przecież stał na tym betonowym placu – zwrócił się do ptaków. Orły tylko wzruszyły ramionami i leciały dalej, ciesząc się sprzyjającym wiatrem. – No, tak, teraz jest tu Polska, a nie Cesarstwo Niemieckie. Jestem ciekaw, gdzie przenieśli jego pomnik. Kilka swoich utworów akordeonowych zadedykowałem jemu. Oby było mu dobrze.

Zaraz po wypowiedzeniu tego zdania Chłopiec usłyszał w dole jakąś kłótnię. Gdy spojrzał za dźwiękiem, zobaczył, jak kamienny orzeł – dużo mniejszy od tego, na którym siedział – uderzał skrzydłami jakąś skąpo odzianą kobietę. Obok nich Wierzba płacząca walczyła z dwoma uskrzydłonymi bobasami. Jeden, latając szybko jak pszczoła, starał się odgonić od siebie węzowe witki, zaś drugi próbował się uwolnić z uścisku drzewa.

- Nie przeszkadzaj mi, Floro! – zagrzmiało drzewo, a następnie smutno dodało – To вина Fontanny, że ścięto moje przyjaciółki!

- Proszę, wyląduj tutaj – zwrócił się Chłopiec do Orła, a ten momentalnie obniżył lot. Chłopak ześlizgnął się z wielkiego skrzydła ptaka i szybko pobiegł w stronę

walczących. Kątem oka dostrzegł, że ptaki poszybowały gdzieś w stronę Odry. Minął wspomnianą Fontannę, która swoimi czterema twarzami śmiała się niczym starzec w cztery strony świata.

- Śmiej się, śmiej – wykrzyknęła w jej stronę Wierzba – Póki tli się we mnie życie i póki moje korzenie sięgają głęboko, nie poczujesz wody w swoich ustach! To kara za twoją zbrodnię!

- Przepraszam – powiedział nieśmiało Chłopiec, stając przed drzewem – czy mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi?

- Kolejny pomnik! – mruknęło drzewo i rzuciło w stronę kobiety – Więc to tak, Floro? Po kryjomu wzywasz swoich kamiennych braci i siostry, żeby i mnie się pozbyć? Nie daruję ci tego!

Nagle mnóstwo wierzbowych witek opłotło ciało Chłopca i poczęło go dusić. Chłopiec wiedział, że drzewo, jakkolwiek silne, z trudem mogłoby mu cokolwiek zrobić, jednak możliwość upadku z wysokości mogła skończyć się dla niego fatalnie.

- Puść go! – krzyknęła Flora – I zostaw w spokoju moje cherubinki. Myśmy nic ci nie zrobili!

- Wszystkie pomniki są ze sobą w zмовie – odpowiedziała Wierzba i mocniej zacisnęła swoje witki wokół kamiennych dzieci – Nie można wam ufać.

- Ale ja pierwszy raz widzę tę panią – powiedział Chłopiec, wisząc kilka metrów nad ziemią – Przywiodły mnie tu wasze krzyki.

- Wierzbo, przestań, bo ich zadusisz! Ten chłopiec bez skrzydeł jest tu nowy. Nie wiem, skąd się wziął.

- Przyleciałem z Jasnych Błoni na żelaznych Orłach – dopowiedział z trudem Chłopiec.

- Jasnych Błoni? – zapytała zaskoczona Wierzba i jakby coś w niej pękło. Zaczęła delikatnie opuszczać Chłopca – Czy widziałeś tam moje dzieci? Albo moje siostry, również wierzby?

- Niestety, rosną tam głównie zadufane w sobie i kłótlive platany. Nigdy nie widziałem tam drzewa podobnego do ciebie.

- Biada nam! – zapłakało drzewo i wypuściło ze swoich pnączy uskrzydłonego bobasa, który – gdyby nie skrzydła – rozbiłby się w drobny mak – Jest nas coraz mniej w tym pięknym mieście. Wszystko przez fontanny, pomniki i betony!

- Jaką winę zrzucaś na nas, rzeźby? – zapytał Chłopiec.

- Wierzba straciła dwie siostry w wyniku przebudowy tego placu – odpowiedziała spokojnie Flora, podchodząc cicho do niego. Chłopiec dopiero teraz mógł się jej lepiej przyjrzeć. Była bardzo wysoka, lekko pucułowata, miała odsłoniętą lewą pierś, a na sobie coś w rodzaju długiej sukienki z jednym ramiączkiem. Przy pasie nosiła girlandę kwiatów – oczywiście z kamienia.

- Ponad dwadzieścia wiosen temu – zaczęła płaczliwie Wierzba – rosłam sobie wraz z siostrami na tym małym placu. Nasze długie witki ocieniały tutejsze alejki, dawały schronienie ptakom i innym małym stworzeniom. Może nie był to wtedy najpiękniejszy plac, ale zdawał się być nasz, wierzbowy. Mogłyśmy z siostrami swobodnie rozsiewać swoje nasionka i powiększać naszą wierzbową rodzinę. Lecz pewnego felernego dnia przyszedł człowiek i powiedział, że moje siostry niszczą rury tego kamiennego szkaradztwa, tej ułudy natury, Fontanny. Człowiek orzekł z dumą, że należy pozbyć się drzew. Nie minął tydzień, a ludzie przybyli mrowiem. Szpadlami, siekierami i młotami pozbawili moje siostry konarów, pni, a potem długich korzeni. Zagnieździli w ziemi betonowe rury i przysypali je ziemią niczym swoich przodków. To był najgorszy dzień w moim wierzbowym życiu. Przysięgam na wszystkie moje witki, na wszystkie listki rosnące na moich konarach, że pomszczę swoje siostry; że pokażę ludziom tego miasta, czym jest klątwa wierzb. Czekałam dnia, by ludzie przybyli ponownie i zechcieli puścić wodę w fontannie. I wiecie co? Doczekałam się! Gdy przybył Włodarz Miasta uroczyście uruchomić fontannę, za moją sprawą woda nie popłynęła! Ani kropelki nie ujrzały usta Fontanny! Żebyście widzieli minę Włodarza! Owoc pracy jego ludzi miał być zaprzepaszczone, tak jak on zaprzepaścił marzenia moich sióstr. Lecz ulitowałam się nad nim i pokazałam, co znaczy łaska drzew. Od teraz w fontannie płynie

woda, przynajmniej czasami, lecz ja nadal oplakuję swoje siostry i walczę o przetrwanie rodziny.

Opowieść Wierzby sprawiła, że cały plac wokół wypełniła cisza. Nocna atmosfera miasta sprzyjała tej dojmującej opowieści o miłości i chęci zemsty. Zarówno Chłopiec jak i Flora z cherubinkami latającymi nad nią przysłuchiwali się historii Wierzby, co i rusz spoglądając na stojącą nieopodal fontannę z groźnym orłem na szczycie. Zdawali sobie sprawę, że nie ma winy po jej stronie, lecz rozumieli również smutek i tęsknotę drzewa. Odczuwali płacz płaczącej Wierzby.

- A gdyby tak... - zaczął niezdarnie Chłopiec – jakoś się dogadać?

- Dogadać? Z martwymi posągami, takimi jak ty?!

- Tak, z nami. Chyba istnieje jakiś sposób, by dojść do porozumienia? Ty, Wierzbo, nie możesz się stąd ruszyć, ponieważ głęboko zapuściłaś korzenie. Lecz my, posągi – Chłopiec spojrzał na zaciekawioną Florę i jej latające bobasy – możemy chodzić, zwiedzać, możemy przenosić się z miejsca na miejsce. Możemy również przenosić różne rzeczy, w tym nasiona.

- Racja – dodała Flora i pobiegła do swojego niskiego postumentu, przy którym leżał odłożony kosz pełen kwiatów – Czemu wcześniej na to nie wpadłam? – powiedziała do siebie. – Wierzbo, razem z cherubinkami możemy przenieść twoje nasionka daleko, daleko nad wodę lub do któregoś z parków i tam zasiać ziarna twojej rodziny. Jestem w końcu boginią wiosny i kwiatów. Wiem, jak obchodzić się z roślinami. Dzięki mnie wierzbowa familia stanie się większa i silniejsza.

- Naprawdę zrobilibyście to dla mnie? – zapytała roztkliwiona Wierzba – Po tym wszystkim, co wam zrobiłam?

- Oczywiście! Jeżeli obiecasz, że zostawisz już Fontannę w spokoju, z przyjemnością ci pomożemy.

Wierzba chwilę pomyślała, po czym dumnie podała najdłuższą z witek Florze na znak rozejmu. Kamienna bogini uścisnęła ją, a cherubinki w przypiływie radości

przytuliły się do pnia starego drzewa.

- Widzicie, wystarczyło się dogadać – wtrącił Chłopiec.

- Tak, wystarczyło – powiedziała Wierzba, a następnie spokojnie spojrzała w stronę Fontanny – Żyj sobie, jak długo ci się uda. Ja już nie będę drażnić twoich korzeni, znaczy twoich rur.

Nim Chłopiec udał się w drogę powrotną, pozbiierał z alejki placu kilka nasionek, by rozrzucić je po Jasnych Błoniach. Na pożegnanie uklonił się Wierzbie, Florze i przybił „piątki” cherubinkom. Mijając Fontannę westchnął, marząc o podobnym cokole. Miał nadzieję, że i z jego postumentu popłynie niedługo woda. Na horyzoncie nie było widać żelaznych Orłów, więc Chłopiec wiedział, że będzie musiał drogę powrotną odbyć samotnie. I że musi się spieszyć, bo świt niedaleki.

Idąc przez miasto, ponownie pozdrawiał mijane rzeźby i pomniki i opowiadał im o swojej nocnej przygodzie. Liczył, że ta opowieść nauczy jego kamiennych braci i siostry współżycia z drzewami. Na szczęście do Jasnych Błoni dotarł tuż przed pierwszymi spacerowiczami. Wiedział, że nie ma już czasu na grę na harmonii, więc jedynie złapał ją w ręce, wskoczył na cokół i spokojnie skamieniał, wyczekując nocy i obmyślając w głowie nową kompozycję. Wiedział już, że zatytułuje ją „Nie płacz, Wierzbo”.

Flora, wciąż stojąca z uśmiechem na placu Orła Białego i dobrze znająca charakter Wierzby, co i rusz – nawet w środku dnia! – obserwowała, czy ta aby na pewno dotrzymuje słowa i pozostawia Fontannę w spokoju. Co uważniejszy przechodzień, spojrzawszy w oczy Flory, powinien zauważyć jej podejrzliwy wzrok i chęć baczego obserwowania samotnego drzewa. Nawet cherubinki, udając zaciekawienie kwiatami i boginką, spoglądają ukradkiem w stronę Wierzby i sprawdzają, czy żadna z delikatnie wiszących witek nie zbliża się do Fontanny. Tak jak to bywa między ludźmi, bywa i między pomnikami czy drzewami. Ufają sobie...lecz do czasu. Miejmy nadzieję, że wszyscy bohaterowie tej historii zapamiętali, że najważniejsze to przede wszystkim rozmawiać i szukać kompromisu, a nie uciekać się do walki.



CHOWANIEC

STOWARZYSZENIE KULTURALNO-EDUKACYJNE

Zapraszamy do kontaktu

 facebook.com/stowarzyszeniechowaniec

 www.chowaniec.org

 stowarzyszenie.chowaniec@gmail.com

 youtube.com/c/StowarzyszenieChowaniec